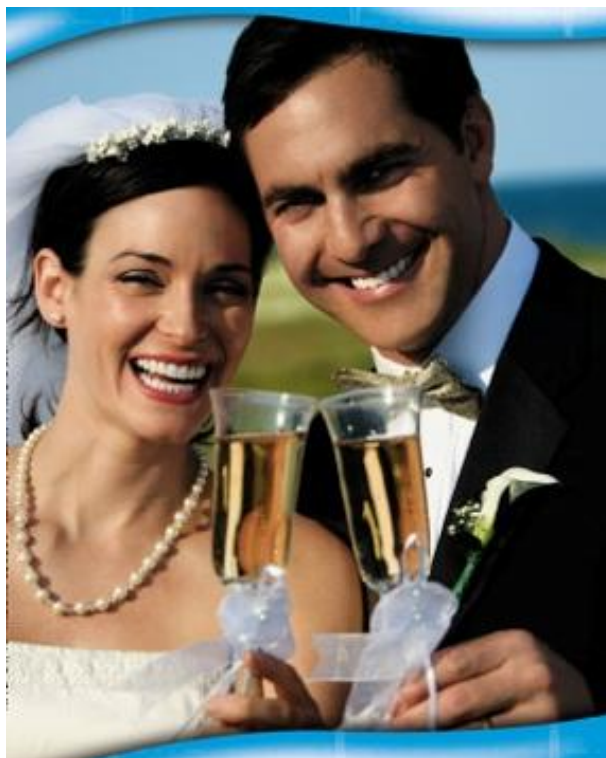




*Jessica Matthews*



*Ślub ordynatora*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

- Pani doktor, mamy problem.

- Zaraz przyjdę - odparła z roztargnieniem Gina Sutton, zaabsorbowana wypisywaniem recepty i wyliczaniem w głowie właściwej dawki leku.

- To nie może czekać - ponagliła ją siostra Lucy Fields.

- Zrozumiałam - rzekła Gina, po czym zwróciła się do pacjenta, czterdziestoletniego Jima Pearce'a. - Z prześwietlenia wynika, że pana nadgarstek jest skręcony, nie złamany. Trzeba będzie go jednak unieruchomić na kilka tygodni, aby mięśnie mogły się zregenerować. To jest recepta - wyrwała kartkę z bloczka - na lek przeciwzapalny. Proszę go brać tak, jak napisałam. Jeśli w ciągu następnych kilkunastu dni nie będzie poprawy, proszę się do nas zgłosić albo odwiedzić lekarza rodzinnego. Ma pan pytania?

Jim potrząsnął głową.

- Tylko proszę pamiętać, żadnego machania młotkiem i podnoszenia ciężarów - ostrzegła go Gina. - To, że założyliśmy szynę, nie oznacza, że może pan pracować. Jeśli ręka się nie zagoi, pojawią się większe problemy.

Twarz Jima odrobinę się zaczerwieniła, co wskazywało, że lekarka trafnie odgadła, co zamierza.

- Rozumiem. Ale tylko kilka tygodni?

- Co najmniej trzy, może trochę dłużej.

- Pani doktor - ponagliła ją Lucy. Pożegnawszy się z pacjentem, Gina dogoniła ją w korytarzu.

- Co takiego nie może zaczekać jeszcze paru minut?

- Doktor Nevins. On zwariował!

- Co znów wymyślił? - zapytała Gina zmęczonym głosem, zastanawiając się, jaki tym razem będzie zmuszona naprawić błąd.

Bill Nevins był szefem izby przyjęć, ale radził sobie gorzej niż stażysta. Zaledwie kilka razy asystował przy poważnych przypadkach i zazwyczaj bardziej przeszkadzał, niż pomagał. Gdyby nie miał koneksji, nigdy, zdaniem Giny, nie zostałby zatrudniony na tym stanowisku.

- Ten człowiek kompletnie stracił rozum - oświadczyła Lucy. - Szaleje w gabinecie, a kiedy próbowałam do niego wejść, rzucił we mnie szklanym przyciskiem do papieru!

- Zawsze był nerwowy. - Gina próbowała załagodzić sytuację. - Co go tym razem rozstroiło?

- Nie mam pojęcia. Wszystko było w porządku, dopóki nie odebrał telefonu. Gina, musisz z nim porozmawiać. Tylko ciebie czasami słucha.

Jakimś cudem przez te dwa lata, które spędziła w izbie przyjęć w Belmont, Gina nauczyła się przemawiać szefowi do rozumu, nawet kiedy zachowywał się kompletnie nedorzecznie. Gdy pewnego razu chciał zwolnić pielęgniarkę za upuszczenie strzykawki podczas akcji ratunkowej, przekonała go, aby dał biednej dziewczynie szansę. Kiedy odmówił sfinansowania nowego defibrylatora, uświadomiła mu spokojnie, jakie będą koszty potencjalnego procesu karnego, nie zapominając przy tym wspomnieć o uszczerbku, jaki poniesie jego reputacja.

Teraz najwyraźniej jej umiejętności mediacyjne znów są potrzebne.

- W porządku - rzekła z rezygnacją, odkładając kartę Jima Pearce'a i wsuwając długopis do kieszonki na piersi białego kitla. - Zajrzyjmy w paszczę lwa.

Ku jej zdziwieniu drzwi były otwarte, weszła więc ostrożnie do pokoju, który wyglądał jak po przejściu tornada. Dokumenty i podręczniki medyczne

walały się po podłodze, na biurku stały kartony, szuflady na akta były puste. Fikus, którego kupiła, aby rozjaśnić nieco ponure wnętrze, leżał przewrócony, a z doniczki wysypywała się ziemia, brudząc szafkę z segregatorami.

- Co słyszeć? - zapytała, podnosząc doniczkę.

Bill przerwał na chwilę przetrząsanie papierów.

- Co słyszeć? Wylali mnie.

Najwyższy czas, pomyślała Gina.

- Naprawdę? - zapytała, starając się nadać głosowi przerażony ton, ale z marnym skutkiem. - Za co?

- Nieważne. Poświęciłem temu miejscu wszystko, a oni tak mi odpłacają!

- I co teraz?

- Skąd mam wiedzieć? Dali mi trzydzieści minut, żebym się spakował!

Trzydzieści minut po dziesięciu latach niezawodnej służby, kiedy starałem się kierować tym wszystkim niemal bez pieniędzy, dali mi... Cóż, to się nie mieści w głowie! To poniżające! - Chwycił kubek, wając go przez moment w dłoni. W następnej chwili cisnął nim w metalową szafkę.

Gina nie zdołała się uchylić, gdy naczynie rozprysło się na tysiąc kawałków. Poczowała ostre ukłucie w policzek i odruchowo dotknęła twarzy. Oceniała, że tym razem nie obyło się bez obrażeń. Zignorowała jednak uporczywe pieczenie i odezwała się kojącym głosem:

- A teraz, Bill...

Nie zdołała dokończyć, bo do pokoju wpadł z ponurą miną ciemnowłosy mężczyzna, ubrany w drogi ciemnoszary garnitur.

- Rzucisz jeszcze czymś i sam się przekonasz, jak to jest przyjemnie latać - warknął, stając pomiędzy Giną a jej rozgniewanym przełożonym. Następnie wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę i wcisnął ją w jej dłoń. - Lepiej się tym zajmij, Gino.

Zaintrygowana rozgrywającą się na jej oczach sceną, do której dołączyli jeszcze dwaj mężczyźni, bardziej krępi i już nie tak wysocy, nie zapytała nawet przybysza o nazwisko. Po prostu wykonała jego polecenie.

- Doktorze Nevins - zaczął mężczyzna surowym głosem - stracił pan prawo do samodzielnego spakowania swoich rzeczy. Proszę natychmiast opuścić szpital.

Bill wyprostował się, mrużąc w gniewie małe oczka.

- A kim pan jest, żeby mi dyktować, co mogę, a czego nie mogę robić?

- Zastąpię pana - oznajmił gość spokojnie i stanowczo. - Do widzenia, doktorze.

Uniósł rękę i w tej samej chwili dwaj towarzyszący mu mężczyźni chwycili Billa pod ramię.

- Przecież nie skrzywdziłem jej umyślnie - zapiszczał Bill. - Powiedz im, Gina.

Wszyscy skierowali na nią wzrok.

- Bill nie zrobiłby mi krzywdy. Nie celowo.

Jej wybawca skrzyżował ramiona i popatrzył na nią chłodno.

- Nie można ufać człowiekowi, który w tak oczywisty sposób pozbawiony jest samokontroli.

- Nie możesz tego robić! - krzyknął Bill. - Mam jeszcze trzydzieści minut.

Jego następcę skarcił go wzrokiem.

- Już nie. Zabrać go.

- Ale moje rzeczy... - zawył Bill, gdy mężczyźni dosłownie unieśli go z podłogi.

- Doktor Sutton dostarczy panu osobiste drobiazgi. - Po tym dwaj, jak domyśliła się Gina, ochroniarze wynieśli wrzeszczącego Billa na korytarz.

Przez chwilę patrzyła w milczeniu na drzwi.

- Nie chciałabym się skompromitować, ale co tu się właściwie stało?

- Zmiana warty - odparł mężczyzna. - Proszę pozwolić mi na to spojrzeć.

- Nie czekając na odpowiedź, uniósł jej podbródek, odsunął chusteczkę i przyjrzał się jej twarzy.

Nagle Gina poczuła się bardzo pewna siebie. Najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego widziała, pojawił się na jej oddziale jak anioł zemsty, a teraz wpatruje się w jej twarz, jakby nigdy dotąd nie widział zadrapania.

- To nic takiego - odparła, boleśnie świadoma dwóch rzeczy: nieznajomy ma powyżej metra osiemdziesiąt wzrostu, co sprawiło, że poczuła się przy nim bardzo drobna, i rozsiewa wokół siebie cudownie męski zapach.

Nacisnął jej kość policzkową i zmarszczył brwi.

- Trzeba założyć szew.

- Nie sędzę.

Uniósł brwi. Oczy miał czekoladowe.

- Czyżby kwestionowała pani moją diagnozę?

- Cóż, chyba tak. Tak.

Uśmiechnął się szeroko. Radosny wyraz twarzy sprawił, że wydał jej się młodszy i mniej groźny.

- Przynajmniej jest pani szczerą - zauważył.

- To najlepsza metoda.

- Proszę usiąść - polecił. - Zaraz wracam.

Mogła go posłuchać, ale ponieważ lepiej radziła sobie z problemami, gdy była zajęta, zaczęła sprzątać resztki kubka Billa, rozmyślając jednocześnie nad tym, jak nieoczekiwany obrót przybrały sprawy tego ranka.

Przez chwilę cieszyła się z odejścia Billa, szybko jednak zrozumiała, że życie w izbie przyjęć wcale nie musi okazać się lepsze, niż było pod jego

kierownictwem. Ten jego następca jest apodyktyczny. I raczej nie będzie równie podatny na jej sugestie jak Bill.

Nieważne. Sztuki perswazji nauczyła się przy ojcu. Nie spotkała jeszcze mężczyzny, który siłą uporczywości dorównywałby Arthurowi Johnowi Suttonowi. Przy odrobinie szczęścia nowy szef izby przyjęć może okazać się człowiekiem bardziej rozsądnym niż Bill, choć miała nadzieję, że podwładnych będzie traktować lepiej, niż Billa przed chwilą.

- Widzę, że jest pani osobą, która niechętnie wykonuje polecenia - oświadczył, stając za nią minutę później.

- Wykonuję chętnie te, które są racjonalne.

- Czyżby to miało być ostrzeżenie?

- Ja tego nie powiedziałam. - Wrzuciła odłamek porcelany do kosza na śmieci. - Pomyślałam, że zyskam u pana punkty, jeśli uprzątnę ten bałagan.

- Doceniam dobre chęci, ale ktoś może zająć się tym później.

Popatrzyła na stertę papierów na podłodze i zawahała się, ale gdy dodał „proszę”, nie mogła nie posłuchać.

Oczyścił róg biurka jednym zamachem ręki i ustawił na nim butelkę antyseptyku, kilka sterylnych opatrunków i zestaw do szycia, po czym odwrócił się do niej twarzą.

- Proszę się nie martwić. Rozsądek to moje drugie imię. Czy jest pani gotowa?

- Nie zszywa się zadrapań. Zresztą i tak już prawie nie krwawi.

Wyciągnął z kieszeni małe lusterko.

- Proszę się przekonać.

Odbicie ukazało powiększającą się kroplę krwi, która zbierała się niebezpiecznie blisko jej prawego oka.

- Żadnych szwów - nalegała.

- Jeżeli wątpi pani w moje umiejętności...

- Nie kwestionuję pańskich umiejętności. Po prostu nie sądzę, aby to było konieczne.

Przysiadł na krawędzi biurka.

- W takim razie wezwę chirurga plastycznego.

- Nie - zaproponowała. - Wystarczy pasek, żeby zamknąć ranę.

Zdecydowanie pan przesadza. Może rozcięcie jest nieco głębokie, ale na pewno nie warto szyć.

- Zostanie pani blizna - ostrzegł.

Dokładnie obejrzała ranę, zanim starła krew.

- Pewnie tak, ale będzie na tyle nieduża, że zakryje ją zwykły podkład. -

Uśmiechnęła się, oddając lusterko. - Wtopi się w zmarszczki. Nikt nie zauważy.

- Nie zdołam pani przekonać, prawda?

- Nie ma szans. Jako pacjent mam prawo poddać się leczeniu lub odmówić.

- Rozumiem. W takim razie pasek. - Podniósł się, wzruszając przy tym ramionami.

- I mogę sama go sobie założyć.

Polął gazę antyseptykiem.

- Jestem pewien, że tak, ale pani tego nie zrobi. Uwaga, będzie szczypać.

Z trudem powstrzymała łzy, gdy przycisnął tampon do jej twarzy i zdezynfekował ranę. Aby oderwać myśli od palącego miejsca, skupiła się na nieznanym.

Był przystojny i doskonale zbudowany. Miał krótkie włosy, gęste i ciemne jak melasa. Rysy twarzy odzwierciedlały arystokratyczne pochodzenie. Gdy czyścił ranę, zwróciła uwagę na długie palce i delikatny dotyk.



- Ten człowiek powinien być wleczony koźmi i poćwiartowany - wymamrotał nieznajomy, rozdierając kolejne opakowanie opatrunków.

- Kto, Bill?

- A któżby inny?

- On jest nieszkodliwy. Niekompetentny, to fakt, ale nieszkodliwy.

- Cóż, muszę się z tym nie zgodzić. Nie powinna była pani się w to mieszać.

- Ktoś przecież musiał go uspokoić. Gdybym miała więcej czasu, znów by się udało.

- Dyplomatka.

Nie opisałyby siebie w ten sposób, ale nie protestowała.

- Czasami.

Plastrem ściagnął brzegi rany.

- Proszę go nie zamoczyć.

- Tak, wiem. Dziękuję. - Wyprostowała się. - A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałabym zadać panu kilka pytań.

Przysiadł na brzegu biurka naprzeciw niej.

- Co chce pani wiedzieć?

- Jak się pan nazywa, na początek.

Jego uśmiech wyrażał zmieszanie.

- W całym tym zamieszaniu zapomniałem o formalnościach.

- To zrozumiałe, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Doktor Ruark Thomas, do usług.

- Miło mi pana poznać, doktorze Thomas. - Wyciągnęła rękę. - Witamy w Belmont Memorial.

- Dziękuję.

Natychmiast zareagowała na dotyk jego palców i głęboki głos. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni poczuła coś więcej niż przeblysk zainteresowania poznanym mężczyzną, ale to nie był najlepszy moment na to, aby jej hormony zaczęły szaleć. Niechętnie cofnęła rękę, nakazując sobie większą koncentrację.

- Czy ma pan doświadczenie w medycynie ratunkowej?

- Owszem. Przeprowadziłem się tutaj z Kalifornii, chcąc spróbować życia na środkowym zachodzie - odparł bez wahania. - Uczyłem się w Wielkiej Brytanii, specjalizowałem w medycynie ratunkowej w Nowym Jorku, a większość czasu ostatnio spędziłem, pracując dla różnych organizacji charytatywnych.

- Interesujące. I w końcu osiadł pan w nudnym małym Belmont Memorial.

Zaśmiał się.

- Z moich dotychczasowych obserwacji wynika, że nie będę tu narzekał na nudę.

Nagle Gina przypomniała sobie pozostałych mężczyzn.

- A ci dwaj, którzy panu towarzyszyli?

- Ochrona. Zapewne będzie pani często widywać Hugh i Joachima. A może i nie. Zazwyczaj pracują w cieniu, przynajmniej tak mi mówiono.

- Czy doktor Lansing boi się, że Bill będzie jeszcze sprawiał kłopoty? Lansing był bardzo sumiennym dyrektorem medycznym szpitala.

- To całkiem możliwe.

- Bill tylko się przechwala. Nic nie zrobi, jeśli będzie podejrzewał, że tych dwóch gdzieś się blisko kręci. Będzie zbyt zażenowany, zwłaszcza że istnieje możliwość, że znów zostanie stąd wyniesiony jak worek z brudną

bielizną. Szczerze mówiąc, po tym, co widziałam, nie chciałabym w ciemnej alejce natknąć się na pana ochroniarzy.

Kąciki jego ust się uniosły.

- Jeśli Hugh i Joachim znajdą się po pani stronie, nie będzie pani miała żadnych problemów.

- Jesteście ze sobą na ty?

- Takie rozwiązanie wydało się nam najbardziej odpowiednie.

Tępy ból w policzku domagał się odrobiny paracetamolu, tymczasem jednak Gina wolała rozmawiać z nieznajomym.

- Nie mogę uwierzyć w to, że Billa już nie ma. Nie wie pan, co spowodowało jego nagłe odejście?

- Nie znam szczegółów, ale administracja już od pewnego czasu nie była zadowolona z jego rządów.

- Naprawdę to zauważyli?

- Owszem.

- A kiedy zdecydowali się wziąć sprawy w swoje ręce?

- Dyskretne dochodzenie zaczęli już kilka miesięcy temu. Usłyszałem o tej posadzie i stwierdziłem, że będzie to wyzwanie, wypełniłem więc inne zobowiązania i oto jestem. - Spochmurniał. - Jednak gdybym wiedział, że to tak niestabilny człowiek, inaczej bym to wszystko zaplanował.

Nie wiedziała, co powiedzieć, ale ogarnęło ją jakieś ciepłe uczucie. Nikt od śmierci ojca nie troszczył się tak o jej bezpieczeństwo. Której kobiecie by to nie pochlebiło?

- Pani z kolei - zbeształ ją - nie powinna była wchodzić do jego gabinetu, wiedząc, w jakim jest stanie.

- Już to przecież przerabialiśmy. Musiałam wejść. Nie było nikogo innego.

- Już jest. Nie będzie pani w przyszłości robić podobnych rzeczy. Jest pani zbyt cenna, aby tak się narażać.

- I naprawdę zamierza pan objąć nasz oddział?

- Chciałem zwołać zebranie załogi zaraz po wyjściu Billa, ale odwróciła pani moją uwagę - rzekł z ironią.

- Dobry pomysł. Na pewno wszyscy umierają z ciekawości.

Przerwało im pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał.

Do środka wetknęła głowę Lucy.

- Czy wszystko tu w porządku?

- Tak - odrzekła Gina.

- Czy coś wam podać? Kawę, herbatę?

- Dziękuję, nie teraz - odparł Ruark uprzejmie.

- W razie czego damy ci znać - dodała Gina.

- Dobrze. - Pielęgniarka wyglądała na zawiedzioną, więc Gina zwróciła się do Ruarka: - Tak, zdecydowanie umierają z ciekawości.

- Zaraz się nimi zajmę - odparł - ale najpierw chciałbym przedyskutować z panią jeszcze jedną kwestię.

- Jasne.

Patrzył na nią w skupieniu.

- Naprawdę nie wiedziała pani, że przyjeżdżam?

- Nie miałam pojęcia - rzuciła ironicznie.

- Czy moje nazwisko nie wydało się pani znajome?

Potrząsnęła głową.

- A powinno? Występował pan ostatnio w wiadomościach?

- Ostatnio nie.

- To świetnie, bo inaczej musiałabym pana przeproszać. Rzadko oglądam telewizję - przyznała z uśmiechem.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- A gdybym powiedział, że pochodzę z Marestonii?

Marestonia? W jej głowie zapaliło się ostrzegawcze światełko, a na twarzy zastygł uśmiech. Tylko spokojnie, powiedziała sobie. Mnóstwo ludzi mieszka w Marestonii. Nie może dać po sobie poznać, że zna ten kraj.

- To gdzieś w Europie Wschodniej, prawda?

- Dosłownie rzut beretem od Avelonii.

Jej serce boleśnie tłukło się w piersi. Nie słyszała nazwy ojczyzny ojca, odkąd skończyła szesnaście lat, kiedy to opowiedział jej historię swojego życia.

Życia, z którego wolał zrezygnować, niż poświęcić własne zasady. Życia, dzięki któremu zyskał żonę i córkę, a stracił całą resztę.

- Wieki temu nasi ojcowie byli przyjaciółmi.

Po tylu latach przeszłość nie powinna jej dopadać. Jej ojciec zostawił tamto życie i nigdy o nim nie wspominał. Nie chciała być wobec rodziców nielojalna.

- Pana ojciec także był inżynierem lotniczym? - Starła się mówić uprzejmie. - Robili razem jakieś interesy?

- Ich przyjaźń zaczęła się na długo przed tym, zanim pani ojciec przeniósł się do Seattle, hrabino.

Poderwała się, słysząc tytuł, do którego miała prawo, ale którego nigdy nie używała.

- Proszę mnie tak nie nazywać.

- Może pani wypierać się swego dziedzictwa, ale ja mam dowód.

- I cóż stąd? To nic nie znaczy. Oficjalnie nic nie łączy mnie z Avelonią.

- A więc jednak coś panią z nią łączy?

Czując się jak zwierzę schwytane w potrzask, przygryzła wargę, odmawiając odpowiedzi.

- Ma pani tam babkę, ciotki, wujów i kuzynów.

- Nie znam ich - odparowała. - Mam trzydzieści lat i całe swoje dotychczasowe życie przeżyłam bez nich. Nie jestem zainteresowana zmianą tej relacji.

Nagle doznała olśnienia. Elementy zagadki, jaką dotychczas był dla niej Ruark Thomas, zaczęły układać się w całość, która się jej nie spodobała. Arystokratyczna postawa, władczy ton, zażyłość z ochroną - to wszystko sugeruje, że jest kimś więcej niż lekarzem, nie tylko nowym szefem izby przyjęć. Studiowała jego twarz w takim samym napięciu, z jakim szukała zazwyczaj bakterii pod mikroskopem.

- Kim pan jest, doktorze Thomas?

## ***ROZDZIAŁ DRUGI***

Ruark uważnie obserwował stojącą przed nim kobietę. Jej oczy ciskały gromy, nie starała się nawet ukryć oburzenia. Nie będzie łatwo wyjawic jej prawdę, wiedział o tym od początku, dlatego też szczegółowo zaaranżował ich pierwsze spotkanie.

Teraz stuknął obcasami i się uklonił.

- Ruark Benjamin Mikael Thomas, Księżę Marestonii.

- Księżę? Myślałam, że jesteś lekarzem.

- Cóż, to się nie wyklucza, prawda?

- Co sprowadza księcia lekarza do Belmont Memorial?

- Praca, jak wszystkich - odparł.
- A od kiedy to książęta muszą zarabiać na życie?
- Lubię służyć ludziom. Jako trzeci syn mogłem wybierać, co chcę robić.

Wybrałem medycynę. Tak jak twój kuzyn Leander.

W jej oczach błysnęła ciekawość, gdy wspomniał o kuzynie, który podzielał jej zainteresowania, ale szybko zastąpiła ją obojętność, jakby z góry zdecydowała się odrzucić jakikolwiek związek z rodziną ojca.

- I pracujesz w Stanach?
- Kiedy nie jestem zaangażowany w działalność charytatywną.
- Jesteś więc księciem, który zarabia na życie. Ale dlaczego ze

wszystkich szpitali w tym kraju wybrałeś właśnie Belmont?

- Bo ty tutaj pracujesz.
- Proszę cię - prychnęła śmiechem. - Chyba nie mówisz poważnie?
- Ależ tak. Przyjechałem, jak tylko zwolnił się etat.
- Ale dlaczego? Przecież nawet się nie znamy.
- Na prośbę twojej babci i mojego ojca. - Sięgnął do kieszeni marynarki i

wyjął białą kopertę. - Królowa Matka prosiła, abym ci to przekazał.

Z uznaniem wodziła wzrokiem po kopercie ozdobionej herbem domu panującego Avelonii, zaadresowanej do niej pięknym charakterem pisma.

- Dlaczego rodzina królewska napisała do mnie? - zapytała podejrzliwie.
- Musisz przeczytać list, żeby się dowiedzieć.

Spojrzała na przesyłkę, jak gdyby spodziewała się w środku wąglika, ale jej nie odepchnęła. Ciekawość walczyła w niej z urazą, którą czuła od lat.

W końcu niechętnie wzięła kopertę i przez chwilę się nią bawiła.

- Nie musiałeś przyjmować pracy w Belmont tylko po to, aby się zabawić w chłopca na posyłki Jej Królewskiej Mości.

Jej bezceremonialność go rozbawiła, ale zdołał ukryć uśmiech.

- Chyba faktycznie nie musiałem.
- Dlaczego więc to zrobiłeś?
- Zrozumiesz, gdy przeczytasz wiadomość od babci.
- Jeśli to jeden z tych grzecznościowych liścików, to chyba nie jestem zainteresowana.

- Przeczytaj go - powtórzył. - Potem odpowiem na wszystkie twoje pytania.

- Dobrze, przeczytam.

Podejrzewając, że pod pozorem potrzeby prywatności Gina wyjdzie, a potem na uboczu zniszczy list, nie otwierając go, Ruark zatarasował własnym ciałem drzwi.

- Nie spiesz się. Poczekam.
- Nie mogę zająć się tym teraz - odparła, mnąc kopertę w palcach.
- Ależ jak najbardziej możesz. Chyba się nie boisz? - zapytał, chcąc ją

sprowokować.

Osiągnął cel. Wyprostowała się i patrząc mu buntowniczo w oczy, rozerwała reprezentacyjną kopertę.

- Zadowolony?
- Nie, dopóki nie przeczytasz.
- To przestań się gapić.

Zdołał ukryć rozbawienie i odwrócić głowę.

- Przepraszam - powiedział mało pojednawczym tonem.

Gina wzięła głęboki oddech i rozłożyła kartkę.



*Najdroższa Wnuczko!*

*Mam nadzieję, że mój list zastał Cię w dobrym zdrowiu. Choć nigdy się nie spotkałyśmy, zawsze myślałam o Tobie jak o członku rodziny. Gorąco żałuję, że zaistniałe w przeszłości różnice rozdzieliły nas na tak długo, ale żywię nadzieję, że zdołasz o tym zapomnieć i bez urazy patrzeć w przyszłość.*

*Avelonia potrzebuje Twojej pomocy, najdroższa Gino. Jej sojusz z Marestonią jest zagrożony, a jego zerwanie naruszyłoby stabilność obu krajów. Rozumiem, że być może nie czujesz sentymentu do ojczyzny swoich rodziców, ale to właśnie ze względu na ich rolę w tej sprawie proszę Cię o pomoc.*

*Księżę Ruark wtajemniczy Cię w szczegóły.*

*Wiem, że moja prośba jest dla Ciebie wielkim zaskoczeniem, ale pamiętaj, że Twoje decyzje wpłyną na życie milionów. Obrany przez Ciebie zawód świadczy o wielkiej trosce o ludzi, co pozwala mi mieć nadzieję, że Twoja dobra natura wskaże Ci właściwą drogę postępowania.*

*Z niecierpliwością wyczekiwać będę Twojej odpowiedzi i osobistego spotkania.*

*Z najlepszymi życzeniami,  
Twoja Babcia, Juliana*

- Co to znaczy, że moi rodzice odgrywają jakąś rolę w tej sprawie? -  
zapytała Gina.

- Dzisiejsze problemy są ściśle powiązane z faktem nieudzielenia kiedyś przez rząd Avelonii zgody na małżeństwo twoich rodziców.

Jej ojciec kiedyś o tym wspomniał, ale nie wdawał się w szczegóły.

- Skoro nawarzyli piwa, powinni chyba sami je teraz wypić?

- Moja rodzina również była w to zaangażowana.

- Cóż, rób więc, co masz robić, ale mnie w to nie mieszaj.

Podeszła do drzwi i sięgnęła klamki. Chwycił ją za ramię i nie ustąpił.

- Moja ciotka przekazała rządowi nieprawdziwe informacje, na podstawie których odmówiono twojemu ojcu zgody na ślub.

- Skłamała, a oni jej uwierzyli? - Nic dziwnego, że jej rodzice nie chcieli rozmawiać o przeszłości. Ojciec musiał czuć się głęboko zraniony zdradą rodaków.

- Niestety tak. Teraz prawda wyszła na jaw, co zaogniło stosunki pomiędzy krajami. Los naszych narodów spoczywa w naszych rękach.

- Proszę cię - prychnęła ironicznie. - Los naszych narodów! Chyba żartujesz?

- Chyba nie.

- Dlaczego miałabym pomagać rządowi, który jednym ruchem odmienił na zawsze życie mojej rodziny?

- Avelonia to twoje dziedzictwo. Nie zrezygnowałaś z obywatelstwa, masz więc wobec niej pewne obowiązki. Czy chcesz mi wmówić, że twój ojciec nie pomógłby ojczyźnie uniknąć kryzysu?

Jej ojciec zawsze był na bieżąco z wydarzeniami po drugiej stronie Atlantyku. Dom był pełen avelońskiej prasy. Arthur Sutton opuścił kraj, ale zostawił w nim serce.

- Czy ty aby nie dramatyzujesz? Avelonia i Marestonia miałyby zaprzepaścić trwające od wieków przymierze przez incydent sprzed trzydziestu lat, o którym już pewnie nikt nie pamięta?

- Nie zapomniano o tym. Obywatele Avelonii stracili wtedy swego ulubionego księcia i teraz domagają się rekompensaty za emigrację twoich rodziców. Jeśli nie, grożą zerwaniem kontaktów z Marestonią.

- I?

- Nasze kraje są ze sobą ściśle powiązane. Wymieniają dobra i usługi w wielu dziedzinach, od rolnictwa do branży zbrojeniowej. Jeśli współpraca ustanie, znikną tysiące miejsc pracy, a oba kraje pogrążą się w gospodarczym kryzysie. Latami będziemy musieli się z tego otrząsać. Ludzie stracą domy, źródła utrzymania, rolnicy nie zdołają sprzedać swoich produktów, dzieci będą chodzić głodne. Mam mówić dalej?

- Bardzo wam współczuję, ale jestem lekarzem, nie politykiem. Nie potrafię wam pomóc. Poproś kogoś innego.

- Nie ma nikogo innego. Jesteś moją ostatnią szansą.

- Przykro mi, ale naprawdę nie mogę pomóc.

- Jesteś tchórzem.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Jestem tchórzem, bo postanowiłam nie mieszać się do polityki, która była powodem wyjazdu mojego ojca z kraju, który kochał najbardziej na świecie?

- Nawet nie zapytałaś, o co chcemy cię poprosić. Mogłabyś przynajmniej mnie wysłuchać, zanim zdecydujesz. Twoja odmowa to dowód tchórzostwa albo egoizmu.

- Przykro mi, że Avelonia i Marestonia przechodzą kryzys. Ale jestem tylko zwykłą kobietą. Pracuję w szpitalu, w gorszej dzielnicy, leczę narkomanów i członków gangów. Nie wyobrażam sobie, czego ty lub moja babcia moglibyście ode mnie oczekiwać. Nie zmienię przeszłości, nie mam wpływowych znajomych. Marnujesz czas.

- Nie masz racji. Nie jesteś zwykłą kobietą. Gdybyś odnowiła kontakty z rodziną, miałabyś wielu wpływowych znajomych. Jesteś przecież hrabiną.

- Ale ja lubię moje życie. Nie chcę być postrzegana jako „hrabina”. Doskonale się czuję ze swoją anonimowością.

- Możesz pozostać anonimowa i poznać rodzinę. Życie jest zbyt krótkie, aby pielegnować urazy.

Łzy napłynęły jej do oczu, gdy pomyślała o ojcu, którego zabiła tęsknota za ojczyzną.

- Nie jesteś w ogóle zainteresowana tym, aby usłyszeć ich wersję tej historii?

- A co to zmieni? - zawołała. - Cofnie czas? Zwróci mojemu ojcu rodzinę, którą kochał? Zmaże poczucie winy matki, która całe życie dręczyła się tym, że jej ukochany musiał wybierać pomiędzy nią a bliskimi? Nie sądzę.

- Masz rację. Tych krzywd nie da się wynagrodzić, ale musimy jakoś zażegnać kryzys.

- Ja nie muszę - odparła, starając się powstrzymać łzy. - Mój ojciec opuścił Avelonię i swoją rodzinę dawno temu. Nie zamierzam teraz angażować się w ich sprawy.

- Nie musisz kontaktować się z rodziną królewską, jeśli sobie tego nie życzysz.

- Nie?

- W gruncie rzeczy rozwiązaniem jesteśmy tylko ty i ja.

Popatrzyła na niego zdezorientowana.

- Nie rozumiem.

- Cóż, na pewno pomogłoby Avelonii, gdyby rodzina królewska mogła pokazać, że znów jest zjednoczona, przyjmując córkę Arthura jak swoją, ale to nie jest konieczne. Ważniejsze jest to, co łączy ciebie i mnie.

- Z powodu twojej ciotki? - domyśliła się.

- Tak. W imieniu całej mojej rodziny muszę jakoś wynagrodzić wam jej egoizm.

- A dlaczego postanowiła zrujnować życie moich rodziców?

- Margret była zakochana w twoim ojcu i wierzyła, że jeżeli twoja matka, Lizbet, zniknie, zdoła zdobyć wzajemność Arthura. - Westchnął ciężko. - Była w szoku, gdy on zrzekł się praw do tronu i wyjechał do Ameryki. Sprawy nie ułożyły się po jej myśli.

- Co ty powiesz? - mruknęła Gina drwiąco. - Niezależnie od jej motywów, ty nie jesteś niczemu winien. Zapewniam cię, że ani przeszłość, ani twoje korzenie nie wpłyną na nasze relacje. Jeżeli o mnie chodzi, jesteśmy po prostu lekarzami, którzy pracują na jednym oddziale. Możesz więc obdzwonić cały świat, aby przekazać tę radosną nowinę dalej. I nasze życie wróci do normy.

Uśmiechnął się, jakby rozbawiła go prostota tego rozwiązania.

- Dobry początek, ale jak już mówiłem, ludzie oczekują czegoś więcej niż przeprosin. Chcą odzyskać swojego księcia.

- To niemożliwe - powiedziała. Gdyby jej ojciec dożył tego dnia...

- I dlatego sytuacja jest tak skomplikowana - przytaknął.

- Skomplikowana czy nie, nie mogę ci pomóc.

Zaczął mówić, ale nagle drzwi się otworzyły i znów pojawiła się w nich Lucy.

- Za chwilę przywiozą nam pacjentów. Dwie ofiary napadu z nożem.

Gina chyba jeszcze nigdy nie odczuwała takiej ulgi na wieść o kolejnym wypadku. Zdecydowanie wolała stanąć w obliczu problemów medycznych, niż rozwiązywać kryzysy dyplomatyczne w krajach, które widziała dotychczas tylko na mapie i na kilku zdjęciach.

- Dzięki, Lucy - powiedziała. - Zaraz tam będę.

Lucy zniknęła, nie wyczuwając panującego w biurze napięcia. Z twarzy Ruarka Gina wywnioskowała, że on również jest zadowolony z nagłego wtargnięcia pielęgniarki.

- Porozmawiamy o tym wieczorem. Gdzieś, gdzie nikt nie będzie mógł nam przeszkodzić.

- Nie mamy o czym dłużej rozmawiać.

- Powinnaś przynajmniej mnie wysłuchać.

Chciała odmówić, ale widząc determinację na jego twarzy, zrozumiała, że on nie zrezygnuje.

- Dobrze, ale do tego czasu nawet nie piśniesz o naszej rozmowie. Nie mówiłam nikomu, skąd pochodzę i wolę, aby tak zostało.

- Masz moje słowo - zgodził się i otworzył drzwi. - Panie przodem.

Gina natychmiast pobiegła do dyżurki pielęgniarek.

- Wezwij Franka - poprosiła recepcjonistkę Ruby, mając na myśli Franka Hortona, rezydenta na chirurgii.

- Właśnie to robię - mruknęła Ruby z telefonem przy uchu. - Nie obchodzi mnie, gdzie musisz go szukać, po prostu to zrób. Jest potrzebny w izbie przyjęć, natychmiast! - krzyknęła do słuchawki.

Gina pobiegła na drugą stronę korytarza, aby sprawdzić, czy sala numer jeden jest dostępna. Ruark podążał za nią jak cień.

- Co ty tu robisz? Bill nie...

- Billa już nie ma. A jeśli dobrze zrozumiałem swój zakres obowiązków, powinienem zajmować się także takimi przypadkami. Boisz się, że zobaczę jakieś niedociągnięcia w pracy twojego oddziału?

- Działamy wzorowo - odparła cierpko. - Możesz obserwować do woli. Gdzie jest Casey? - zapytała.

- Pan doktor wyszedł do dentysty dziesięć minut temu - przypomniała jej przechodząca pielęgniarzka.

Jak mogła o tym zapomnieć? Że też akurat dzisiaj musiał zgubić plombę.

- Doktor Powers miał go zastąpić, ale może przyjechać dopiero na pierwszą trzydziści. - Toby Powers był w wieku przedemerytalnym i miał tylko dwa dyżury w tygodniu.

- Problemy z personelem? - zapytał Ruark.

- Nic, z czym nie umielibyśmy sobie poradzić.

Rozmowę przerwała im podjeżdżająca pod izbę przyjęć karetka.

Ratownicy wwieźli na noszach pierwszego pacjenta.

- Mężczyzna, dwadzieścia pięć lat. Liczne rany klute klatki piersiowej - relacjonował ratownik Tim Abbott. - Odma opłucnowa otwarta. Ciśnienie sto dziesięć na sześćdziesiąt pięć.

Gina przysłuchiwała się, zakładając jednocześnie fartuch i maskę. Ciśnienie jest niskie, może pojawić się tachykardia, skóra pacjenta jest chłodna i wilgotna, a on sam jest niespokojny, pomimo unieruchomienia odcinka szyjnego i piersiowego kręgosłupa. Tim zdążył go już zaintubować, ale nie ułatwiło to oddychania, co widać było po nabrzmiąłych żyłach szyjnych.

Uniosła opatrunek i zobaczyła osiem ran kłutych. Z największej, tuż obok serca, wydobywała się spieniona krew. Powietrze i krew przedostają się do jamy klatki piersiowej, utrudniając pracę płuc. Musi temu czym prędzej zaradzić.

Ku jej zaskoczeniu w sali pojawił się Ruark.

- Wszystko pod kontrolą - oznajmiła, przygotowując się do przeniesienia pacjenta z noszy na łóżko.

- Próbuje pani odstraszyć mnie od pacjenta, pani doktor? - zapytał chłodno.

Może nie powinna była od razu obejmować kierownictwa nad akcją ratunkową, ale trudno wyzbyć się starych nawyków. Poza tym powinna się

upewnić, że ten szlachetnie urodzony doktor wie, co robi, zanim dopuści go do swoich pacjentów.

- Ależ skąd - odparła. - Raz, dwa, trzy, podnosimy!

Gdy pacjent został przeniesiony na łóżko, Gina zaczęła wydawać polecenia pielęgniarce, które mocowały oksymetr, podłączały kroplówkę i monitorowały wentylację.

- Proszę podwójny dren. Morfologia, grupa krwi i krzyżówka dla czterech jednostek. Gdzie Horton?

- Jeszcze go nie ma - powiedziała Becky.

- Zadzwoń ponownie. Jeśli nie odbierze, wezwij doktora Ahmadiego. - Ahmadi był przełożonym Hortona.

Gina osuszyła z krwi największą i najbardziej niepokojącą ranę. Całe ciało pacjenta było pokryte tatuażami. Szczegółowo odwzorowany smok na lewym bicepsie był wyjątkowo charakterystyczny.

- Mamy jednego z klientów Picassa.

- Kogo? - zapytał Ruark.

- Pabla Picassa. Pablo to jego prawdziwe imię, a ponieważ jest naszą sławą od tatuażu, nazwał swoją pracownię „Picasso” - wyjaśniła i zaczęła badać klatkę piersiową, aby założyć dren. - Myślał, że ekskluzywna nazwa doda gabinetowi klasy. Często widzimy jego dzieła na tym stole.

- Jak go poznałaś? Nie wydaje mi się, aby lekarz i tatuażysta mieli ze sobą wiele wspólnego.

- Trafił do izby przyjęć z zapaleniem płuc, kiedy byłam stażystką, i zaczęliśmy rozmawiać. Zaprosił mnie do salonu, a ja skorzystałam z zaproszenia. Jego prace są fantastyczne.

- Wybrałaś sobie coś? - zapytała Lucy.

- Jasne, że tak. Lidokaina.



Lucy podała jej napelnioną strzykawkę.

- O rany, masz tatuaż?

- No.

- Żartujesz.

- Daj spokój, Lucy, to nic wielkiego.

- Jasne... Za każdym razem, gdy zbaczasz ze swojej prostej wąskiej ścieżki przyzwoitości, jest to interesujące. Co wybrałaś i gdzie to masz? Nie trzymaj nas w niepewności.

- To żaba. Na stopie. Skalpel.

- Mogłam zgadnąć. Kolekcjonujesz je, prawda? - Lucy podała instrument.

- Uhm. - Gdy przebiła się do opłucnej i założyła zacisk, z otworu trysnęła krew.

Zaabsorbowana pracą, nie zauważyła pojawienia się kolejnej pielęgniarki i jeszcze dwóch ratowników, wwożących do sali drugą ofiarę, pod kroplówką i w masce tlenowej.

- Mamy problem, pani doktor - powiedział ratownik Andy Carter.

- Co ty powiesz - wymamrotała Gina.

- Co się stało? - Ruark opuścił pacjenta Giny i podszedł do nowego.

- Ma odnę, ale nie mogłem go zaintubować.

- Poproszę rurkę - zażądał Ruark, ustawiając się u wezglowia noszy.

Andy zerkał to na niego, to na Ginę.

- Pani doktor?

- Gdzie jest Frank? - zapytała.

- Prosiłem o rurkę - powtórzył Ruark. - Mam sam sobie wziąć?

Wszyscy, łącznie z Giną, zamarli.

- Co chcesz zrobić? - zapytała.

- Ocalić mu życie, jeśli tylko ktoś poda mi tę cholerną rurkę! - krzyknął, stojąc nad mężczyzną, który rzeził.

Jak na komendę, pielęgniarki rzuciły się do pomocy.

Gina i Lucy wymieniły spojrzenia. Ruark będzie wściekły, że nikt nie chciał słuchać jego poleceń. Ale czego się spodziewał? Nikt nie wie o oficjalnej zmianie kierownictwa - wszystko stało się tak szybko. Gdyby zwołał zebranie, zamiast roztrząsać międzynarodowe problemy, do niczego takiego by nie doszło.

- A tak przy okazji - oznajmiła Gina, zajmując się pacjentem - obawiam się, że nikt z was nie miał okazji poznać nowego szefa izby przyjęć, doktora Ruarka Thomasa. Jak zapewne się domyśliliście, zastąpi Billa.

Gdy ekipa nieufnie mamrotała słowa powitania, Gina wyszeptała do Lucy:

- Miej na niego oko i wołaj, gdyby coś się działo.

Lucy wykonała polecenie, zamieniając się miejscami z inną pielęgniarką.

- Ja też nie mogę go zaintubować - oznajmił Ruark. - Ma uszkodzoną krtani, która blokuje górne drogi oddechowe.

- Potrzebuje konikotomii - wtrąciła się Gina z drugiego końca sali.

Pracowała już z niedoświadczonymi lekarzami i przywykła do wygłaszania swoich opinii w bardziej skomplikowanych przypadkach. - Czy możemy...

- Wentylować go przy użyciu igły i rurki? - Chyba czyta w jej myślach. - To tymczasowe rozwiązanie. Zabieg chirurgiczny będzie lepszy, łatwiej będzie potem założyć rurkę tracheotomijną, której na pewno będzie potrzebować.

- Czy mógłbyś sam się tym zająć?

- Jestem dwa kroki od ciebie. Nie martw się. Robiłem to raz czy dwa.

Raz czy dwa? Gina jęknęła w duchu. Jednak, jak na lekarza z tak małym doświadczeniem, Ruark nie wydawał się zdenerwowany i chyba wiedział, co

robi. To ją uspokoiło, ale jednocześnie zirytowało, że być może będzie potrzebował jej pomocy. W końcu chodzi o życie pacjenta.

- Znajdź chrząstkę pierścieniową, która znajduje się mniej więcej dwa-trzy centymetry pod chrząstką tarczową - poinstruowała go. - Odsłoniętą błonę przetnij na środku. Uważaj na więzadła głosowe i nie przetnij...

- Tylnej ścianki krtani i przełyku. Tak, Gino, wiem, ale dzięki za przypomnienie.

Nie był zdenerwowany i nie wrzeszczał na pielęgniarki, które nie dość szybko podawały narzędzia, co było diametralną zmianą w stosunku do stylu pracy jego poprzednika. Jej obawy, że Ruark jest po prostu lepiej wychowaną wersją Billa, zaczęły się rozwiewać, gdy słuchała jego poleceń wydawanych spokojnym głosem. Nie będzie musiała rewidować jego cv - styl jego pracy mówi znacznie więcej o jego umiejętnościach niż lista piastowanych stanowisk. Jeśli poradzi sobie z tym pacjentem, będzie można mu zaufać.

Po kilku sekundach świst krtaniowy u pacjenta ustał. Gina odetchnęła z ulgą.

- Udało się - powiedział Ruark z zadowoleniem. - Teraz odma.

Nagle z drugiego końca sali odezwała się pielęgniarka:

- Ciśnienie spada.

Gina natychmiast zauważyła u swojego pacjenta nadmierne wypełnienie żył szyjnych powierzchownych i stłumienie tonów serca - klasyczną triadę Becka - i zrozumiała, że serce przestaje pracować.

- Coś uciska osierdzie lub tętnicę wieńcową - powiedziała głośno. - Trzeba otworzyć klatkę, ale...

- Ale co? - zapytał Ruark z drugiego końca sali.

- Ale ja nie mam wystarczających kwalifikacji - przyznała. -

Potrzebujemy chirurga. Jedziemy na górę, natychmiast.

Nagle obok niej pojawił się doktor Horton.

- On nie przeżyje tej wycieczki. Posuń się.

- Miło, że wpadłeś, Frank - rzekła uszczypliwie, zamieniając się z nim miejscami.

- O co chodzi, przecież jestem. - Zwrócił się do Candy. - Zniszczymy nieco jego tatuaże, ale zrobimy torakotomię.

Gdy Frank rozpoczął zabieg, Gina spojrzała na ratowników kręcących się w pobliżu.

- Znamy ich nazwiska?

- Sprawdzę. - Andy wymknął się z sali.

Skupiona na asystowaniu Frankowi, Gina zauważyła Ruarka dopiero, gdy stanął w nogach łóżka.

- Jak twój pacjent? - zapytała.

- Lepiej niż twój - odparł. - Jest w tej chwili w drodze do sali operacyjnej. Na górze trzymają też miejsce dla twojego.

Kilka minut później obaj pacjenci znaleźli się na chirurgii. Lucy i Candy wzięły się za uprzątnięcie pozostawionego przez nich bałaganu. Gina zdarła z siebie maskę i poplamiony krwią fartuch, widząc kątem oka, że Ruark robi to samo. Już miała z resztą personelu wymknąć się z sali, gdy ją i pozostałych powstrzymał dźwięk jego głosu.

- Nie ruszać się - rozkazał.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Wszyscy zamarli. Większość spoglądała na nowego szefa z rezygnacją, szykując się na nadchodzącą burzę. Gina, chcąc chronić swój personel, odezwała się w tej sytuacji pierwsza.

- Nie możesz ich obwiniać za niewykonywanie twoich poleceń. Dla nich równie dobrze mogłeś być studentem medycyny.

Każdy, kto ma dwoje oczu i odrobinę zdrowego rozsądku, zrozumiałby, że jest kimś więcej niż studentem - był pewny siebie i autorytatywny. Z drwiącego wyrazu jego twarzy wyczytała, że wybrała kiepską linię obrony.

- Doskonale wiem, że nie dopełniłem formalności, pani doktor - odparł - zapomnijmy więc o tym incydencie. Proszę jednak pamiętać, że jestem teraz dyrektorem izby przyjęć i mogę państwu zapewnić, że posiadam odpowiednie kwalifikacje. Nie chcę zmieniać waszego systemu pracy z dnia na dzień - ciągnął - ale będę przyglądał się waszym działaniom uważnie i na pewno częściej zechcę usprawnić. Nawet jeśli oddział działa dobrze, zawsze jest miejsce na poprawki. Nie będę tolerować bylejakości. Oczekuję od każdego z was zaangażowania i zamierzam tyle samo dawać z siebie.

- Jakie są szanse na nowe etaty? - zapytał ktoś z tłumu.

- Jeśli faktycznie jest taka potrzeba, zrobię wszystko, żeby je zdobyć - obiecał.

Ci, którzy dotychczas sceptycznie podchodzili do zmiany, teraz zaczęli kiwać głowami, zadowoleni z odpowiedzi Ruarka. Pod koniec zaimprovizowanego spotkania wszyscy się uśmiechali i żartowali.

- W razie problemu moje drzwi są zawsze otwarte - dodał na zakończenie. - A teraz możecie wracać do pracy.

Gina towarzyszyła mu po wyjściu z sali.

- Pod koniec jedli ci z ręki - zauważyła.

- Ludzie zazwyczaj starają się sprostać oczekiwaniom. Wiedzą, że wymagam wiele, i tyle z siebie dadzą. Jeśli nie... - Wzruszył ramionami.

Gina postanowiła oczyścić atmosferę.

- Żebyśmy się zrozumieli, nie będę przepraszać za to, że poprosiłam Lucy, aby miała na ciebie oko. Nie widziałam wcześniej, jak pracujesz.

- W tych okolicznościach zrobiłbym to samo, jak każdy lekarz, który troszczy się o pacjenta. Mam nadzieję, że zaspokoiliś ciekawość i wyzbyłaś się wątpliwości?

- Tak.

- W takim razie zapomnijmy o tym.

- Dlaczego nie powiedziałeś im, że jesteś księciem?

- Muszą się przekonać, że przede wszystkim jestem lekarzem. W przeciwnym razie nie zdołają zapomnieć o moim pochodzeniu i nie stworzymy spójnej grupy, którą powinniśmy być.

- Mnie powiedziałeś.

- Dla ciebie zrobiłem wyjątek, z oczywistych względów. Dla innych moje pochodzenie jest nieistotne.

- Naprawdę w to wierzysz? Twój personel nie jest ślepy. Zauważy ochronę i zacznie zadawać pytania.

- Po tym, co zrobił dziś Bill Nevins, nikt nie będzie się zastanawiał nad tym, dlaczego tu są. Poza tym to profesjonaliści, potrafią się wtopić w tło. A jeśli ktoś zapyta, powiem mu prawdę. I tak wkrótce się dowiedzą.

- Zawsze masz na wszystko odpowiedź?

- Jestem liderem, muszę mieć. Widzisz, Gino, nie lubię niespodzianek.

Po dzisiejszym poranku ona też przestała je lubić.

Resztę przedpołudnia Ruark spędził na obserwowaniu pracy oddziału. Na szczęście nie było kolejnych wypadków, mógł więc bez przeszkód rozmawiać z personelem. Wolałby, aby Gina była jego przewodnikiem, ale często znikwała pod pozorem zajęcia się pacjentami.

Wiedział, że to tylko wymówka. Na tablicy określającej przydziały nie było nic, z czym nie poradziłby sobie stażysta. Nie protestował, bo uznał, że Gina zapewne potrzebuje trochę czasu na przetrwanie tych kilku informacji, którymi się z nią podzielił. Resztę powie jej wieczorem.

Kiedy ojciec pokazał mu dossier Giny sporządzone przez pałacową straż, z rezygnacją zgodził się spełnić swój obowiązek. Teraz, gdy ją poznał, ożyła w nim nadzieja. Wygląda na to, że przywrócenie rodzinie utraconego honoru nie będzie takie straszne.

Gdyby przybył do Belmont bez ukrytego celu, jako zwykły lekarz, Gina i tak przyciągnęłaby jego uwagę. Jej twarz elfa, smukła sylwetka, brązowe włosy i uśmiech oczarowały go bardziej, niż się spodziewał. Gdy dotknął jej miękkiej skóry i zobaczył ranę zrobioną przez Billa Nevinsa, zapragnął jego głowy. Dotychczas był dumny ze swej samokontroli i ta reakcja go zaskoczyła.

Chciał być przy niej cały czas i porównać to, czego dowiedział się o niej z raportów, z rzeczywistością. Musi jednak być cierpliwy.

Ku jego zaskoczeniu i radości dowiedział się o niej więcej, niż chciał, od jej kolegów.

- Tym zajmuje się pani doktor Sutton.
- Doktor Sutton pisze te raporty.
- Doktor Sutton zawsze potrafi przekonać administrację do przysłania nam tego, czego potrzebujemy.
- Doktor Sutton ma obsesję na punkcie doskonalenia zawodowego - wyznała mu jedna z pielęgniarek z dumą.

- Jesteśmy jedynym oddziałem w szpitalu z aktualnymi certyfikatami.

- Jeśli będzie pan chciał złapać panią doktor, musi pan robić tak jak my: podejść i po prostu jej przerwać - ostrzegła go Lucy. - Ona jest w ciągłym ruchu. Siada tylko przy lunchu, ale i tak na krótko. Samo zastanawianie się nad tym, ile ona robi, już mnie męczy. Nie wiem, skąd bierze na to wszystko siły.

- Pewnie zostaje po godzinach?

- Jasne. Ta kobieta nie ma prywatnego życia. Jest tu od szóstej rano do ósmej, dziewiątej wieczorem, pięć dni w tygodniu. Powtarzam jej, że się wypali, a ona się śmieje. Jeśli chce pan znać moje zdanie, Bill Nevins po prostu ją wykorzystywał. Szczerze mówiąc - Lucy zerknęła na niego ukradkiem - mieliśmy nadzieję, że gdy Bill przejdzie na emeryturę, Gina, to znaczy pani doktor, obejmie jego stanowisko. Wiele dla nas zrobiła. Cały personel jest do niej bardzo przywiązany.

Ruark spojrział na pielęgniarkę.

- Czy to ostrzeżenie?

- Niekoniecznie.

Uśmiechnął się, słysząc cierpki ton.

- Posada pani doktor jest bezpieczna - zapewnił - chociaż wolałbym ją zwolnić z kilku obowiązków. Nie dlatego, że mam zastrzeżenia. Po prostu nie zamierzam pójść w ślady Nevinsa i wymigiwać się od pracy.

- Rozumiem. - Uśmiechnęła się do niego. Pewien, że pozyskał sobie względy siostry oddziałowej, Ruark wskazał grafik wiszący na tablicy.

- Poza Giną rzadko widzę tu nazwiska lekarzy częściej niż dwa razy w tygodniu.

- Większość lekarzy szybko ma dość nadgodzin i marnej płacy, więc odchodzą. Kiedy Gina rozdziela dyżury, bazuje przede wszystkim na



zastępstwach, przyjaciółach i byłych pracownikach, którzy po prostu nie potrafią jej odmówić.

Pomyślał o Franku Hortonie.

- A rezydenci? Czy chirurg nie powinien być cały czas do dyspozycji?

- W Belmont jest tylko kilku rezydentów. Ginekolog położnik spędza większość czasu na położniczym, a neurolog na intensywnej terapii.

- A Frank?

- Jest zatrudniony u nas, ale przychodzi tylko na wezwanie.

- Kto mu na to pozwala?

- A kto może go powstrzymać? Gina próbowała, ale nie ma nad nim formalnej władzy.

- A Nevins?

- Dopóki Frank reagował w porę, Bill nie miał zamiaru się tym przejmować. Jeśli sprawdzasz, co należałoby poprawić, powinieneś zacząć właśnie od tego.

Większość przypadków Gina diagnozowała z zamkniętymi oczami, toteż modliła się w duchu o coś bardziej skomplikowanego niż półpasiec i wrośnięty paznokieć. Po pełnym wrażeń poranku spodziewała się kolejnych niespodzianek. Woląla zaangażować się w pracę, niż marnować czas na zgadywanie, co chce powiedzieć jej Ruark. Na szczęście dla niej do szpitala zgłosiła się dwudziestojednoletnia Janice Myers, skarżąca się na ból brzucha.

Gina przejrzała jej ostatnie badania. Zrobiła wszelkie możliwe testy, ale nie potrafiła wskazać przyczyny bólu.

- Test beta HCG był ujemny, możemy więc wykluczyć ciążę pozamaciczną - poinformowała pacjentkę i jej narzeczonego, Kyle'a Burnhama.

- Mówiłam, że nie jestem w ciąży - powiedziała Janice słabym głosem.

- Wiem, ale musiałam to sprawdzić. Nie wyobraża sobie pani, ile kobiet zarzeka się, że nie jest w ciąży, a test wychodzi pozytywnie.

- Więc co jej jest, pani doktor? - odezwał się Kyle. - To trwa od wczoraj.

- Bóle brzucha, gorączka, lekko podniesiony poziom białych krwinek sugeruje zapalenie wyrostka - przyznała Gina - ale te symptomy mogą wskazywać także na wiele innych chorób.

- Na przykład?

- Zapalenie miednicy małej, przepuklina, zapalenie uchyłków.

- Może się czymś strułam? - zapytała Janice.

- Wtedy objawy pojawiłyby się nagle. Mówiła pani, że zaczęło boleć dwa dni temu i że ból się wzmaga.

- Co teraz? - zapytał Kyle, skupiając wzrok na Janice. - Mamy czekać, aż samo minie?

- Ależ skąd. Zaraz wezwę na konsultację chirurga.

Gina weszła do dyżurki pielęgniarek i odłożyła kartę, świadoma obecności w pokoju Ruarka i Lucy.

- Wezwij Hortona - powiedziała do Ruby. - Podejrzewam zapalenie wyrostka, zabiegowy numer trzy.

- Nie będzie zadowolony - ostrzegła Ruby. - Wyszedł stąd przed chwilą.

- Nic mnie to nie obchodzi. Moja pacjentka potrzebuje konsultacji. Jeśli on nie przyjdzie, powinien przysłać kogoś w zastępstwie.

- Już dzwonię.

- Dziękuję.

- Pani doktor - Ruark wtrącił się, gdy Ruby podniosła słuchawkę - chciałbym zamienić z panią kilka słów.

Nie mogła odmówić, choć bardzo chciała. Z desperacją zerknęła na tablicę. Niestety, poza nazwiskiem Janice nic na niej nie było.

- Jasne - rzuciła przez ramię.

Nawet jeśli usłyszał niechęć w jej głosie, nie dał niczego po sobie poznać. Zamiast tego uprzejmie zaprosił ją do swojego gabinetu.

Od razu zauważyła zmianę w wyglądzie pomieszczenia.

- Widzę, że byłeś zajęty.

Przysiadł na skraju biurka.

- Nie było tak źle, jak wyglądało. Ruby mówi, że będziesz wiedziała, co z tym zrobić. - Podał jej cienki stosik papierów.

Przejrzała je szybko.

- Umowy archiwizuje księgowość. Nieruchomości to także nie nasza działka. - Odwróciła stronę. - Sprzedaż wyposażenia? Nie sprzedajemy... - Lista przedmiotów przykuła jej uwagę.

- Co? Ten... łajdak - wymamrotała.

- Wnioskuje z twojej reakcji, że nie wiedziałaś, że wyprzedaje wyposażenie oddziału?

- Ależ skąd. - Potrząsnęła głową, wpatrując się w listę. - Oftalmoskop. Mieliśmy pacjenta z zarysowaną rogówką, chciałam go zbadać i nie mogłam znaleźć oftalmoskopu. Bill powiedział, że odesłał go do naprawy i musieliśmy przez to używać przedpotopowego modelu z magazynu. Nic dziwnego, że zareagował tak nerwowo, kiedy nie daliśmy mu czasu na posprzątanie biurka. Dowiedziałeś się jeszcze czegoś ciekawego?

Skrzyżował ramiona, co podkreśliło ich szerokość. Dziwne, że ze wszystkich mężczyzn akurat on ją tak pociąga. Uosabia przecież wszystko, z czego zrezygnował jej ojciec, jak może więc fantazjować na jego temat? Pewnie powinna więcej wychodzić. Powinna się zaangażować w coś bardziej osobistego, zamiast od rana do wieczora leczyć. Czerpie ogromną satysfakcję z

pracy, ale widać potrzebuje czegoś innego. Hormony zdecydowanie dają o sobie znać.

- Owszem. - Jego głos znów przykuł jej uwagę. - Dziwne, ale pod całym tym bałaganem widać doskonałą organizację. Nie domyśliłbym się tego po moim pierwszym spotkaniu z Billem.

- Pierwsze wrażenie zazwyczaj jest mylące.

- Nie mogę też uwierzyć w to, że to on odpowiadał za stosunkowo płynną pracę oddziału. Ale ciebie akurat to nie dziwi, prawda? Rozmawiałem z personelem. Opowiedzieli mi o tylu twoich osiągnięciach, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem jeszcze nie chodzisz po wodzie.

Roześmiała się.

- Niestety nie.

- Ludzie są wobec ciebie bardzo lojalni.

Teraz zrozumiała: on się martwi, że będzie z nim konkurować o władzę nad oddziałem.

- Bill nie był najłatwiejszy we współżyciu. Jeśli pojawiał się problem, starałam się sama sobie poradzić. Jeśli mi się nie udawało, szłam do niego. - Przypomniła sobie sytuacje, w których jej groził, wściekał się, krzyczał, dopóki nie przekonała go, aby rozpatrzył jej propozycję. Zdecydowanie nie będzie za nim tęsknić. - Na szczęście zazwyczaj udawało mi się na niego wpłynąć.

- Urodzona dyplomatka.

- Robiłam to, co było konieczne. Inaczej nikt nie chciałby tu pracować dłużej niż tydzień. - Popatrzyła na niego. - Rozumiem, że teraz to się zmieni.

- Na pewno - zadeklarował. - Oczekuję, że wszyscy będą przychodzić z problemami bezpośrednio do mnie, zamiast kryć się za twoimi plecami. Nie zamierzam wymigiwać się od pracy.

To było nieuniknione. Choć wielokrotnie marzyła o tym, aby Bill zajął się swoimi obowiązkami, zamiast zrzucić je na nią, ciężko było stawić czoła nowej rzeczywistości. Co ze sobą pocnie, jeśli praca przestanie zajmować jej osiemdziesiąt godzin w tygodniu?

Zdołała ukryć rozczarowanie.

- Miło mi to słyszeć.

Ruby zapukała do drzwi.

- Przepraszam bardzo. Pani doktor, jest tutaj doktor Horton i...

Gina usłyszała jej podniesiony głos i w duchu przygotowała się do nieuniknionej konfrontacji.

- Nie jest zadowolony - dokończyła za nią, wstając. - Już idę. - Nie czekając na pozwolenie Ruarka, dołączyła do grzmiącego Franka Hortona.

Spojrzał na nią z wściekłością.

- Co to ma znaczyć? - Postukał palcami w kartę Janice Myers.

- Poprosiłam o konsultację chirurgiczną. Podejrzewam zapalenie wyrostka.

- Czytałem kartę. Objawy mogą sugerować wiele chorób. Sprawdź, czy się nie zatręła. - Przesunął kartę w stronę Giny.

- Badałeś ją?

- Nie. Ta kobieta nie potrzebuje operacji. Może to zapalenie miednicy małej?

- Nic w historii choroby na to nie wskazuje. A jeśli to faktycznie miednica mała, laparoscopia tylko pomoże w postawieniu diagnozy.

- Zrób test na pasożyty.

- Znam się na tym, co robię - wysyczała Gina przez zęby, tracąc cierpliwość. - Test nie jest potrzebny, bo jej choroby nie wywołały pasożyty. Objawy nie pasują.

- Na chirurgii już mamy opóźnienia. Jeśli do jutra się jej nie polepszy...  
- A jeśli wyrostek perforuje w nocy? A jeśli się pomyliłam i perforowałam wrzód w żołądku albo to zgorzel pęcherzyka żółciowego? Zaryzykujesz czekanie?

Frank się zawahał.

- To nie wyrostek.  
- W porządku. Zrób laparoskopię, żeby udowodnić, że nie mam racji.  
- Nie zabiorę jej na chirurgię.  
- Jak chcesz. - Przeniosła się za ladę i chwyciła słuchawkę.  
- Co ty robisz?  
- Przenoszę ją do innego szpitala.  
- Nie możesz!  
- A właśnie że mogę.  
- Zapraszam was do mojego gabinetu - przerwał im Ruark. -  
Natychmiast. - Ton jego głosu nie zostawiał miejsca na dyskusję.  
- O co chodzi?

Frank spojrzał na Ginę triumfująco.

- Gina chce, abym przeprowadził niepotrzebny zabieg. Odmówiłem, więc nalega, aby przenieść pacjentkę do innego szpitala.  
- Zabieg jest potrzebny - przerwała mu. Ruark uniósł rękę.  
- Po kolei. Panie doktorze?

Gotując się w środku, Gina zacisnęła usta i zaczęła liczyć do dziesięciu. Wierząc, że nowy szef izby przyjęć jest po jego stronie, Frank zreferował objawy i wyniki badań Janice i powtórzył swoją diagnozę.

- Rozumiem pański dylemat - podsumował Ruark. - Jednak z doświadczenia wiem, że nie wolno ignorować nawet prawdopodobieństwa

wystąpienia zapalenia wyrostka. Jeśli doktor Sutton jest przekonana, że potrzebna jest laparoscopia, powinien pan ją wykonać.

- Ale, ale...

- Co więcej, jeśli nie potrafi pan przekonać chirurgii, że powinni mieć dla pana zawsze gotową salę, może pana szef to dla nas załatwi. Ordynatorem na chirurgii jest doktor Ahmadi, tak?

- Tak, ale... - Frank zaczerwienił się.

- Dochodzę do wniosku, że nie wygląda pan na zdolnego do przeprowadzenia operacji. Może zadzwonię na górę i znajdę bardziej skłonnego do współpracy specjalistę. Zaraz po rozmowie z doktorem Ahmadim.

Frank wzruszył ramionami.

- Jestem profesjonalistą - powiedział sztywno. - Sam to załatwię.

- Tak myślałem. I proszę pamiętać, że jeśli jeszcze raz zakwestionuje pan zdanie pani doktor z taką wrogością, to będzie pan musiał opuścić mój oddział.

To ostrzeżenie dotarło do Franka po kilku sekundach. Pokiwał głową, wyrwał kartę z rąk Giny i wybiegł.

Gina zaniemówiła. Myślała, że będzie musiała bronić swojej opinii, a skoro nie było to potrzebne, poczuła się oszukana.

- Nigdy nie wysłałabym pacjenta na niepotrzebną operację.

- Wiem.

- Dokładnie ją przebadalam. Nie ma klasycznych objawów, ale coś mi mówi...

- Gino, ufam ci. Frank Horton nie powinien już więcej sprawiać ci problemów.

- Najwyraźniej.

- Myślałem, że będziesz zadowolona.

- Umieję sama obronić, panie doktorze.

- Na pewno, ale tym razem nie dałabyś rady. Zawsze staję po stronie moich ludzi. Nie toleruję chamstwa i im szybciej wszyscy w szpitalu się o tym dowiedzą, tym lepiej.

Gdy zrozumiała jego słowa, poczuła się głupio.

- Przepraszam, przesadziłam.

- Przepraszamy przyjęte. Jesteśmy zespołem. Problemy nie są ani twoje, ani moje. Są nasze. Pamiętaj.

Napięcie w jego spojrzeniu i obietnica w głosie sprawiły, że przeszedł ją dreszcz. Może nie była ekspertem w czytaniu między wierszami, ale wyczuła czające się w podtekście zaproszenie do zacieśnienia znajomości. Poczuła, że jej życie zaczyna się zmieniać. Ta świadomość ją przeraziła.

- Muszę już iść.

- Gino...

Zatrzymała się przy drzwiach.

- Tak?

- Mój kierowca przyjedzie po ciebie o siódmej.

- Przyjadę sama.

- Nie ma mowy. A może wolisz, abyśmy spotkali się u ciebie?

- A jeśli nie zdążę wyjść z pracy?

- Przyślę samochód tutaj.

Ta opcja była nawet gorsza, bo prowokowała pytania. Personel izby przyjęć ma szczególnie wyostrzony wzrok. Musi się poddać. Tym razem Ruark wygrał.

- Dobrze. Będę gotowa o siódmej.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Masz piękny dom - zauważyła Gina uprzejmie.

- Dziękuję. Czy mogę wziąć twoje okrycie?

Zdjęła sweter narzucony na żółtą ołówkową sukienkę.

- Jest ogromny. Pewnie często urządzasz przyjęcia - zauważyła.

- Prawie nigdy - odparł. - To znaczy zapraszam czasami kilkoro przyjaciół, ale to nic wielkiego.

- Żadnych zobowiązań dyplomatycznych?

- Rzadko. I nie wywiązuję się z nich w mojej prywatnej rezydencji.

Mieszka tu także mój personel. Dobrze, że się o siebie nie potykamy.

Przynajmniej każdy ma odrobinę prywatności.

Jako przystojny książę i lekarz do wzięcia z pewnością potrzebuje więcej prywatności niż inni, pomyślała Gina z irytacją.

- Od czego wołałabyś zacząć, od kolacji czy drinków?

- Od kolacji. Lunch jadłam całe wieki temu.

Uśmiechnął się

- Oto kobieta moich marzeń. Mam nadzieję, że lubisz łososia.

- Lubię.

- Henri będzie zachwycony. Pół dnia obmyślał menu. - Posadził ją w jadalni, przy stole mogącym pomieścić tuzin osób. - Poproszę, aby zaczęto podawać.

Gina z uwagą oglądała piękną zastawę. Kryształły lśniły w świetle żyrandoli, a jej twarz odbijała się w srebrnych wypolerowanych sztućcach. I z tego wszystkiego zrezygnował jej ojciec. Czy kiedykolwiek żałował swej decyzji? Chciała wierzyć, że nie.

Nagle przypomniała sobie coś, co zawsze jej powtarzał.

To ludzie są ważni, Gino, nie rzeczy.

Ruark wrócił i zajął miejsce przy niej.

- Podobała ci się przejażdżka przez miasto?

Spodziewała się limuzyny i ucieszyła się, gdy pod dom zajechał skromniejszy samochód.

- Bardzo. I nie musisz się martwić, że ktoś z personelu zdradzi twoje tajemnice. Z szofera nie mogłam wydusić nawet jego własnego imienia.

Stremowana wizytą, chciała wciągnąć Hugh w towarzyską pogawędkę na temat Marestonii i Ruarka, ale ten odpowiadał monosylabami.

Ruark się uśmiechnął.

- Hugh jest dosyć nieśmiały, ale ma wiele innych zalet. Między innymi fenomenalny zmysł obserwacji. Nic mu nie umknie.

Doskonale, pomyślała z irytacją. Na pewno więc zauważył, jak nerwowo bawiła się bransoletką. Przyłapawszy się na tym samym teraz, puściła łańcuszek i sięgnęła po serwetkę, aby położyć ją na kolanach.

Drzwi do kuchni otworzyły się i pojawił się w nich korpulentny łysiejący mężczyzna w średnim wieku z dwoma talerzami w ręce.

- Gino, to jest Henri. Henri, przedstawiam ci pannę Sutton.

- Bardzo mi miło. - Henri postawił przed nią sałatkę ze szpinakiem. -

Książkę często o pani mówi.

Uniosła brwi, zanim odwzajemniła uśmiech kucharza.

- Mam nadzieję, że dobrze.

- Ależ oczywiście. Smacznego. - Podał sałatkę Ruarkowi, ukłonił się i zniknął.

- Henri jest ze mną już od kilku lat. Jest dosyć porywczy, jeśli chodzi o charakter.

- To znaczy? - Wzięła kęs i prawie westchnęła z rozkoszy.

Sos na pewno nie pochodził z torebki.

- Ma obsesję na punkcie punktualności. Jeśli ktoś spóźni się choć pięć minut, narzeka, że posiłek został zmarnowany.

- Jadasz ze swoim personelem?

- To cię dziwi?

- Odrobinę. Myślałam, że książęta nie spoufalają się ze służbą. Protokół i tak dalej.

- Nie cierpię jadać sam.

Gina doskonale to rozumiała. Sama często zostawała w szpitalu do późna, aby móc zjeść kolację w kafeterii.

- Może zgodzisz się kiedyś do nas przyłączyć?

- Może - odpowiedziała, nie chcąc brać na siebie zobowiązań.

Posiłek był wyborny, a Ruark zabawiał ją anegdotami z poprzednich miejsc pracy. W połowie kolacji Gina była tak pochłonięta rozmową, że zapomniała o celu wizyty i zaczęła się naprawdę dobrze bawić. Rzeczywistość dopadła ją jednak, gdy Ruark zaproponował, aby na kawę i deser przeszli do jego gabinetu.

- Dziękuję, że zgodziłaś się przyjść, abyśmy mogli omówić nasz problem - powiedział.

- Nadal nie uważam, aby to był mój problem.

- Źle się wyraziłem. Naszą sytuację.

- Może przejdziemy od razu do sedna?

- Wolałbym zacząć od początku. Żeby mieć pewność, że rozumiesz, co się wydarzyło i dlaczego ma to taki wpływ na terażniejszość.

- Jak uważasz.

- W porządku. - Wziął głęboki oddech. - Jak zapewne wiesz, zgodnie z tradycją w Avelonii i Marestonii rząd musi zatwierdzić każde małżeństwo członków rodziny królewskiej. Gdy twój ojciec poprosił o zezwolenie na ślub z twoją matką, parlament odmówił.

- I dlatego tato zrzekł się tronu i przyleciał do Ameryki - dokończyła. - Tak, znam historię o tym, jak kilku małosłownych ograniczonych mężczyzn uznało, że moja mama nie ma odpowiednich koneksji. Nigdy nie rozumiałam, w czym rzecz, poza tym, że miała nieszczęście być zwykłym człowiekiem, a nie następczynią tronu.

- Nasze rządy są zbyt postępowe, aby opierać decyzje w tak ważnych sprawach na kwestii samego pochodzenia. Bazowali na, wydawałoby się, niepodważalnych dowodach na to, że jeśli książę Arthur i Lizbet van Horn się pobiorą, rodzina królewska znajdzie się w kompromitującej sytuacji.

Ojciec nigdy nie wspominał o żadnych dowodach.

- To znaczy?

- Ojciec Lizbet pracował dla kogoś zaangażowanego w nielegalne przedsięwzięcia i istniała obawa, że on także ma z tym coś wspólnego.

Nielegalne przedsięwzięcia? Kochany uroczy dziadek Jorge miałby być przestępcą? Nie mogła uwierzyć, że mężczyzna, który pachniał miętówkami i tytoniem i zabierał ją do parku, aby karmić gołębie, mógł być zamieszany w jakieś pokątne działania. Czy całe jej życie, życie jej rodziny, było kłamstwem?

- Jakiego rodzaju przedsięwzięcia?

- Narkotyki, prostytutka i tym podobne. Z tego względu twoi rodzice spotykali się w tajemnicy. Twoja mama uczyła muzyki w podstawówce, wiodła ciche stateczne życie i była powszechnie lubiana, Arthur był więc pewien, że jego wniosek spotka się z akceptacją. W końcu przecież nie

powinno się obciążać twojej matki za czyny jej ojca lub jego przełożonego. Niestety, jak już mówiłem, moja ciotka Margret zakochała się w twoim ojcu i załamała się, gdy odrzucił jej uczucie. W konsekwencji, jak by to powiedzieć, przeinaczyła nieco fakty i przedstawiła rządowi informacje, które kazały wątpić w uczciwość Lizbet.

- Przeinaczyła fakty? Nie owijajmy w bawełnę, Ruark. Ona po prostu skłamała.

- Obojętne jak to nazwiesz, w jej wersji było tyle prawdy, że okazała się nie do podważenia.

- Dlatego odrzucono ich prośbę. - Po raz pierwszy w życiu usłyszała pełną wersję wydarzeń i z całego serca współczuła rodzicom.

- Księżę Arthur odmówił poddania się dyktatowi rządu i sprzeciwiając się woli królowej, zrzekł się tronu. Jego decyzja wstrząsnęła krajem, ale jako że był drugim synem, zdołał nieco uspokoić sytuację, przypominając, że jego szanse na objęcie władzy są nikłe. Ponadto cały czas podkreślał publicznie, jak bardzo kocha przyszłą żonę.

- Bo kochał.

- Nikt tego nie kwestionuje. Jednak rozwścieczeni Avelończycy nie przestali oskarżać Marestonii o nieuczciwość i wszelkiego rodzaju zło. Aby zapobiec kryzysowi, Arthur zaapelował do romantycznej natury swoich poddanych. Niestrudzenie pracował na rzecz pogodzenia obu krajów, przypominając, że jest to jego prywatna sprawa, a nie kwestia polityczna. Ostatecznie nastroje uspokoiły się i wszyscy w końcu pogodzili się z jego decyzją. Ożenił się z Lizbet i wyjechał z nią do Stanów, gdzie przyszłaś na świat.

- Nie próbowali potem dowieść niewinności mojej mamy, nie wspominając o dziadku?

- Poszlaki były zbyt mocne. Poza tym rodzina królewska chciała jak najszybciej wyciszyć skandal. - Spojrzał na nią. - Twoja babcia nie wierzyła, że Arthur postąpi tak, jak postąpił, a gdy to się stało, musiała opanować sytuację.

- A co stało się z Margret?

- Nigdy nie wyszła za mąż.

- Skąd wiesz? Jeśli nikt nie dogrzebał się prawdy wtedy, jak to zrobiłeś po trzydziestu latach?

- Twój wuj i mój ojciec od samego początku prowadzili małe śledztwo w tej sprawie, ale każdy trop wiódł w ślepy zaułek. Znikali świadkowie i dokumenty, wspomnienia się zacierały. W końcu Arthur przekonał ich, że powinni pogodzić się z sytuacją. Kilka lat temu u Margret zdiagnozowano złośliwego guza mózgu. W pamiętniku, który znaleźliśmy wkrótce po jej śmierci, opisała swoją rolę w tym skandalu.

- Rozumiem.

- Wtedy doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu tego ruszać. Arthur i Lizbet już nie żyli. Rozgrzebywanie tej historii nic by nie dało. Ale pamiętnik Margret wpadł w niepowołane ręce i sprawę nagłośniono. Wybuchł skandal, bo dla Avelończyków była to kropla, która przepęłniła czarę.

- To w ogóle nie ma sensu - zaprotestowała. - Jeśli jesteś niezadowolony z władzy, nie oznacza to, że niechęć automatycznie przenosi się na twoich sąsiadów.

- Przenosi się, jeśli czujesz, że twój rząd tych sąsiadów faworyzuje. Żeby zwiększyć wymianę handlową, rząd Avelonii przyznał Marestończykom szereg ulg podatkowych, aby zachęcić ich do otwierania przedsiębiorstw w Avelonii.

- A teraz Avelończycy mają powód, by zmusić parlament do zaostrzenia polityki ekonomicznej wobec Marestonii - dokończyła, zrozumiawszy w końcu sytuację.

- Właśnie. Mówiłem ci już, jakie będą konsekwencje takich działań dla obu krajów.

- Zadeklaruj więc oficjalnie chęć przeprosin. Zrezygnujcie z ulg podatkowych.

- Avelonia i Marestonia od wieków szczyliły się wzajemną otwartością i uczciwością. W tej sytuacji wiele osób uważa, że same przeprosiny nie wystarczą. Co do podatków, wasz parlament chyba planuje zająć się tą sprawą.

- Twoja rodzina mogłaby wybudować jakiś szpital albo szkołę na cześć mojego ojca. To powinno wszystkich zadowolić.

- Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość - przerwał im Hugh. - Powinien pan obejrzeć najnowsze wiadomości.

Na ekranie telewizora Gina zobaczyła setki osób oddzielonych kordonem policyjnym od dużego budynku, w którym rozpoznała siedzibę avelońskiego parlamentu. Niektórzy nieśli transparenty, inni skandowali albo wygrazali policji.

Zza kadru dobiegł ich głos reporterki:

- Jak państwo widzą, pod siedzibą parlamentu zebrali się obywatele celem nakłonięcia rządzących do zadośćuczynienia za decyzję w sprawie sprzed trzydziestu lat, dotyczącej małżeństwa księcia Arthura i Lizbet van Horn. Atmosfera jest napięta, protestujący domagają się zaostrzenia polityki wobec Marestonii. Wydaje się oczywiste, że ani rząd, ani rodzina królewska nie widzą sposobu powstrzymania rosnącego niezadowolenia społecznego. Przedsiębiorstwa będące własnością Marestończyków są bojkotowane, a wiele

z nich ogłosiło już upadłość i zapowiedziało masowe zwolnienia. Policja odnotowuje coraz częstsze przypadki wandalizmu.

Demonstrację zastąpiły migawki z ulic ukazujące potyczki młodocianych z policją, szyby samochodów rozbijane kamieniami, dziecko płaczące w ramionach matki, która padła ofiarą eksmisji.

- Sytuacja jest niestabilna. Parlament zapowiedział, że jeśli dojdzie do eskalacji przemocy, ustanowiona zostanie godzina policyjna, a w utrzymanie porządku zaangażuje się gwardia narodowa.

Gina nie zwróciła uwagi, gdy Ruark wyłączył telewizor. Ekran był ciemny, ale ona wciąż przeżywała to, co widziała i słyszała.

- Myślałam, że przesadzasz. Z tego, co mówiła ta dziennikarka, wynika, że władze nie mają pomysłu na rozwiązanie sytuacji. Co twoim zdaniem ja miałabym zrobić?

- Środki dyplomatyczne nie odniosły skutku. Eksperti wierzą natomiast, że potrzebne jest bardziej osobiste rozwiązanie.

- Przecież ze sobą pracujemy.

Kąciki jego ust lekko się uniosły.

- To dobry początek, ale oni liczą na połączenie obu rodzin panujących.

- Jak połączyć obie rodziny? - Zamilkła nagle, gdy w końcu zrozumiała, jakiego rodzaju osobiste rozwiązanie Ruark ma na myśli. - Niemożliwe, abyś myślał o...

- Małżeństwie - dokończył zdanie.

Małżeństwo.

Z mężczyzną, którego właśnie poznała.

Po latach pracy w izbie przyjęć nauczyła się odporności na szok, ale to jedno słowo sprawiło, że ziemia usunęła się jej spod nóg.

- Mamy się pobrać?



- Tak.

- To jakiś żart?

- Nie.

- Chcesz powiedzieć, że doświadczeni dyplomaci nie potrafili wymyślić niczego lepszego od ślubu dwojga nieznajomych?

- Rozważaliśmy inne opcje, ale procesy sądowe, ugody finansowe i sankcje ekonomiczne są marną pociechą dla zranionej dumy. I spowodowałyby ogromne trudności dla obu krajów.

- Nie. To się nie dzieje naprawdę. Najpierw Bill, teraz to. To musi być sen.

- Zapewniam cię, że to nie sen.

- Pomysł wykorzystania małżeństwa do celów politycznych jest dosyć średniowieczny.

- Średniowieczny czy nie, sprawdzał się. Wojny toczono często o znacznie bardziej błahe sprawy.

- Posłuchaj - zaczęła - pochlebia mi to, że uważasz, że mogę pomóc. Pochlebia mi to, że będąc księciem, wziąłeś pod uwagę małżeństwo ze mną, nie widząc mnie wcześniej, ale przecież nikt nam nie uwierzy. To stałoby się zbyt szybko, aby mogło być prawdopodobne, chyba że bierzesz pod uwagę małżeństwo platoniczne, które unieważnimy za rok lub dwa.

- Żadnych unieważnień. Ani platonicznych związków. Ja mówię serio.

- Małżeństwo to poważny krok, nawet dla ludzi, którzy się znają. Być może dla ciebie to, że jesteśmy sobie kompletnie obcy, nie ma znaczenia, ale dla mnie i pewnie dla wszystkich innych jednak ma. Obywatele obu krajów uznają to za trik, który ma ich zmanipulować, i będą mieli rację.

- Nie, jeśli przekonamy ich, że jest inaczej.

- Jestem lekarzem, nie aktorką.

- Właśnie. Nikt nie zakwestionuje romantycznego związku dwóch osób, które połączyła praca.

Zdołała dopasować do siebie kolejne fragmenty łamigłówek - dostarczenie listu od babki było tylko częścią większej całości.

- Wszystko to zaplanowałaś, prawda?

Spojrzał jej w oczy.

- Oczywiście. Gdybyśmy pobrali się, mieszkając na dwóch krańcach kraju, byłoby to podejrzane.

- Nikt się nie przeprowadza w jedną noc. Wakaty nie pojawiają się na życzenie.

- To prawda. Starania o przeniesienie rozpocząłem kilka miesięcy temu.

- Tylko mi nie mów, że doprowadziłeś do zwolnienia Billa Nevinsa, aby zająć jego miejsce. - Nie chciała myśleć, jak dużą władzę posiada Ruark, jeśli może osiągnąć coś takiego.

- Według tego, co mi powiedziano, styl zarządzania Billa niepokoił administrację szpitala już od pewnego czasu. Czekali tylko na właściwy moment i po cichu szukali zastępstwa, więc gdy się pojawiłem, od razu zaczęli działać. To była okazja dla nas wszystkich. Oprócz Nevinsa, oczywiście.

- A jeśli wyjdę teraz i już nie wrócę? Utkniesz tu na dobre, ja zniknę, a twój wielki plan się zawali.

- Nie wyjdiesz.

- Skąd ta pewność?

- Widzisz, Gino - jego spojrzenie stwardniało, a ona zrozumiała, że ma do czynienia z groźnym przeciwnikiem - po pierwsze, potrzebujesz pracy, musisz więc utrzymać tę lub poszukać innej. Po drugie, nie znajdziesz innej bez referencji, a zgadnij, kto jest obecnie jedyną osobą, która mogłaby ci je wystawić? Po trzecie, twój kontrakt zobowiązuje cię do zachowania

trzymiesięcznego okresu wypowiedzenia. Jeśli zerwiesz umowę, wracamy do punktu drugiego. Tak więc argument o poślubieniu obcej osoby jest bez sensu, bo i tak jesteśmy na siebie skazani przez kolejnych dziewięćdziesiąt dni.

Zdążymy się poznać.

Niech go, on ma rację!

- A jeśli po prostu odrzucę twoją hojną ofertę?

- Potrafię być bardzo przekonujący.

W to akurat nie wątpiła. Poznali się zaledwie dwanaście godzin temu, a już zdołał dowieść, że jest zdeterminowany w dążeniu do celu. Poza tym jest na jego terenie, pozbawiona środków transportu innych niż własne nogi, co oznacza, że może ją tu trzymać całymi godzinami. Szanse na zwycięstwo są dosyć nikłe.

- Dlaczego godzisz się z decyzjami podjętymi bez twojej zgody? - zapytała. - Nie jesteś przecież następcą tronu. Skoro mogłeś wybrać zawód, możesz też wybrać żonę.

Gdy to mówiła, zastanawiała się, jakiego rodzaju kobietę Ruark by poślubił, gdyby zależało to od niego. Świadomość tego, że mogłaby nie przykuć jego uwagi w normalnych okolicznościach, nadwątliła nieco jej poczucie wartości.

- Mogę - zapewnił ją. - Ale dla mnie to raczej kwestia honoru i obowiązku wobec rodziny.

- To właśnie chce usłyszeć każda kobieta. Propozycję małżeństwa wygłoszoną z obowiązku.

Uniósł brwi.

- Wolalabyś, abym uwodził cię przez kilka tygodni, zadeklarował wieczną miłość i dopiero potem zaciągnął do ołtarza? Przecież w końcu i tak

dowiedziałabyś się prawdy, a wtedy znienawidziłabyś mnie za nieuczciwość, co chyba nie wpłynęłoby dobrze na nasz związek.

Znów ma rację, co zirykowało ją równie mocno, jak jego bezpłatne oświadczyzny.

- A jeśli już kogoś mam? - wypaliła.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

- Nie masz. Nie spotykałaś się z nikim na poważnie od miesiący.

Przynajmniej nie wytknął jej, że ostatnią randkę miała w zeszłe Boże Narodzenie.

- Wiem o tobie o wiele więcej, niż sądzisz, Gino.

Przerażająca myśl.

- Musi być przecież jakieś inne wyjście.

- Jeśli naprawdę uważasz, że nasi dyplomaci i eksperci coś przeoczyli, chętnie cię wysłucham.

Nic nie przychodziło jej do głowy.

- Posłuchaj, żeby twój plan się powiódł, musielibyśmy do siebie pasować.

A jeśli tak nie jest?

- A jeśli do siebie pasujemy? Nie dowiemy się, jeśli nie spróbujemy.

- Może wydamy oświadczenie, w którym ogłosisz, że się oświadczyłeś, a ja odrzuciłam propozycję?

- Sądzisz, że moi rodacy będą zadowoleni z faktu, że odrzuciłaś ich księcia bez podania przyczyny? Odbiorą to jako osobistą zniewagę.

- Lepiej być obrażonym niż zmanipulowanym. Oświadczyły w pierwszym dniu znajomości chyba również nie przysporzą ci dobrej prasy? Nie da się zmyślić historii, która ma oszukać miliony ludzi.

- My po prostu przedstawimy fakty, a ludzie sami wyciągną wnioski. Na szczęście, oboje uczestniczyliśmy w tej konferencji w Los Angeles pół roku temu. Formularze rejestracyjne będą dowodami. Ludzie pomyślą, że tam się poznaliśmy i nawiązaliśmy romans na odległość, który w końcu doprowadził do mojej przeprowadzki do Belmont.

- Byłeś na konferencji? - Było tam mnóstwo uczestników, ale jak ona mogła go nie zauważyć?

- Całe pięć dni.

Sytuacja coraz bardziej wymyka się spod kontroli.

- Czy naprawdę tylko ja widzę, że porażka jest nieodłączną częścią tego twojego niby-planu?

- Nie pozwolimy sobie na porażkę. Według mnie to najlepsze rozwiązanie.

- Przecież ja nic nie wiem o byciu księżniczką!

- Niczym się to nie różni od bycia hrabiną. Będiesz rano wstawać, chodzić do pracy, a wieczorem wracać do rodziny.

Rodzina. Pojęcie to zakłada męża, dzieci i wszystko, co się z tym wiąże - koncerty, mecze piłkarskie, przedstawienia. Zapragnęła rodziny, gdy jej matka zginęła w wypadku i została sama z ojcem, ale wymagające studia, a potem praca zepchnęły te marzenia na dalszy plan. Teraz, gdy ich spełnienie jest w zasięgu ręki, poczuła się oszołomiona. A fakt, że w tym scenariuszu Ruark odgrywałby znaczącą rolę, sprawił, że przeszedł ją przyjemny dreszcz.

Ale przez lata nauczyła się, że nie wszystko jest takie łatwe, jak na pierwszy rzut oka się wydaje.

- Chyba zapomniałeś, jak zostałam wychowana. Moje arystokratyczne pochodzenie nie miało żadnego wpływu na to, kim jestem dzisiaj.

- I teraz też nie będzie miało. Wybraliśmy zawód lekarza i na pewno żadne z nas z tego nie zrezygnuje, ta część naszego życia się więc nie zmieni. Będziemy musieli pewnie pojawiać się publicznie przy różnych okazjach, ale rzadko. Kilka razy w roku.

On jest zdecydowanie zbyt pogodzony z czymś, co może okazać się jego życiową porażką. Zmrużyła oczy.

- Co ty będziesz z tego miał? Ktoś wręczy ci klucz do narodowego skarbcza, czy jak?

Uśmiechnął się lekko.

- Ja też mam wątpliwości - przyznał - ale kiedy rozważam konsekwencje wycofania się z tego pomysłu, w porównaniu z nimi moje obawy wypadają blade.

Cóż, nie spodziewała się może, że będzie jej przysięgał wieczną miłość po kilku godzinach znajomości, ale chciałyby pomyśleć, że nie jest kolejnym zobowiązaniem na jego długiej liście. A jednocześnie zdawała sobie sprawę z tego, że jej oczekiwania są niemądre - poznali się przecież dziesięć godzin temu.

- Rozumiem, że ciężko ci nawet rozważyć, a co dopiero zaakceptować ten pomysł. Ale trzydzieści lat temu twój ojciec nie ustawał w wysiłkach, aby zapobiec takiemu rozwojowi spraw. Naprawdę pozwolisz, aby to wszystko teraz runęło, jeśli możesz to powstrzymać?

Liczą się ludzie, Gino, nie rzeczy.

Wiedziała, jak bardzo ojciec kochał Avelonię i dlatego zdecydowała się poważnie potraktować tę propozycję.

- Nie chcę, aby wysiłki mojego taty spełzły na niczym, ale małżeństwo powinno opierać się na czymś więcej niż polityczne kalkulacje, zwłaszcza jeśli naprawdę ma być na dobre i na złe.

- Nasze będzie - zapewnił ją. - Mamy wspólne zainteresowania, które mogą stać się solidną podstawą satysfakcjonującego związku.

Wspólne zainteresowania. Satysfakcjonujący związek. Jest to równie ekscytujące jak szpitalna dieta.

- Kiedy zamierzacie to wszystko przeprowadzić, zakładając oczywiście, że się zgodzę?

- Jak najszybciej.

- Jak najszybciej? - Nawet nie próbowała ukryć zaskoczenia. Małżeństwo z Ruarkiem w bliżej nieokreślonej przyszłości jest wystarczająco trudne do zaakceptowania. Przeszedł ją dreszcz, ale nie mogła określić, czy był to strach, czy też może zniecierpliwienie.

- Po co ten pośpiech? Może na przykład za sześć miesięcy? - W tym czasie kryzys sam wygaśnie albo ona wymyśli inne rozwiązanie.

- Sześć miesięcy? Niemożliwe. Czas gra ogromną rolę. Niezadowolenie rośnie z dnia na dzień.

- Tak, ale taki pośpiech sprowokuje tylko kolejne pytania. Chyba nie zamierzasz udawać, że powodem jest jakiś dziedzic tronu?

- Nie brałem tego pod uwagę. - Uśmiechnął się. - Ale jestem pewien, że będziemy mieć uroczę dzieci.

Wizja jego szczupłego ciała zaplątanego w prześcieradła, jego twarzy zrelaksowanej w czasie snu, jego ramienia otaczającego nocą jej talię wywołała w niej nagły ból. Potarła czoło drżącą ręką, aby rozwiać obraz, który wtedy się zmienił. Pojawił się chłopiec, ciemnowłosy jak Ruark, obok którego szła dziewczynka, przypominająca Ginę z dzieciństwa.

- Będziemy czy nie będziemy, nie ma o czym mówić. Chcę, żebyś obiecał, że nie będziesz sugerował, że jestem w ciąży, ponieważ w innym przypadku gwarantuję, że twój plan obróci się przeciwko tobie.

- Naprawdę?

Coś w jego oczach powiedziało jej, że on nie sprzeciwiałby się przeniesieniu dzieci ze sfery planów w rzeczywistość. Dla niej wzmianka o dzieleniu sypialni, o dotyku jego skóry, była rozkoszną torturą. A przecież mąż z obowiązku, którego dopiero co poznała, nie powinien chyba wywoływać w niej tak intensywnej reakcji.

- Po prostu nie maćmy bardziej, niż musimy - zaproponowała, mając nadzieję, że Ruark nie zauważy napięcia w jej głosie.

- Masz rację, ale jak już mówiłem, czas jest naszym wrogiem. Parlament pod koniec października przegłosuje zaostrenie kursu wobec Marestonii, im szybciej więc zaczniemy działać, tym lepiej.

- A może wystarczy ogłoszenie zaręczyn? Potrząsnął głową.

- Jeśli nie zawrzemy ślubu, wszyscy uznają to za ukartowane, a wtedy będziemy mieć o wiele większe problemy. Naprawdę nie ma sensu unikać nieuniknionego.

- Powiedz, co planujesz - rzekła z rezygnacją.

- Cywilną ceremonię, możliwie szybko. Po niej mój ojciec wyda oficjalne oświadczenie i zaczniemy żyć jak małżeństwo.

Ślub cywilny. Nie o takim marzyła, ale nie marzyła też o tym, że poślubi kogoś bez miłości.

- A jak wyjaśnisz fakt, że nie pobieramy się w ojczyźnie?

- Chciałaś wyjść za mąż w Stanach, bo to twój dom. Po śmierci ojca wolałaś skromne spotkanie w gronie przyjaciół. Nikt nie będzie podważał tej wersji.



- A pośpiech?

- Pośpiech tylko dodaje całej sprawie romantyzmu - zapewnił. -

Wytłumaczymy naszą niecierpliwość chęcią wspólnego życia w Belmont.

Pomyślał o wszystkim.

- A sukienkę mogę wybrać sama, czy o to też już zadbałeś?

Udał, że nie słyszy sarkazmu w jej głosie.

- Po ceremonii będziemy żyć jak szczęśliwa młoda para. Kilka zdjęć i starannie dobranych wywiadów powinno skłonić wszystkich w Marestonii i Avelonii do pogodzenia się z przeszłością.

- A jeśli będziemy cały czas drzeć koty?

- Nie będziemy.

- Skąd ta pewność?

- Mam takie przeczucie.

- A jeśli się mylisz?

Pochylił się do przodu.

- Jesteśmy dorośli i wiemy, jaka jest stawka. Musi się udać, Gino. I się uda.

Mówi tak pewnie, ale przekonuje ją czy siebie? Nie mogła zaprzeczyć, że Ruark ją pociąga, ale całe życie marzyła o wielkiej namiętności.

- Może okażę się mniej obrzydliwy, niż ci się teraz wydaje? - Powiedział to lekkim tonem, ale wyczuła, że jest urażony. Argumentował tak chłodno i logicznie, że nie pomyślała o tym, iż jej rezerwę mógłby odczytać jako odrzucenie nie tylko planu, ale i jego samego.

- Przepraszam, Ruark. To nie jest kwestia osobista. Po prostu zawsze wyobrażałam sobie, że małżeństwo ma być takie jak moich rodziców, a nie zrodzone z wygody czy obowiązku. A już na pewno nie takie, które mi

narzucono, aby rozwiązać międzynarodowy kryzys. Pokiwał głową, jakby ją rozumiejąc.

- Pogodzenie się z tym pomysłem trochę trwa.

- A jak długo cię trzeba było przekonywać?

Wzruszył ramionami.

- Ja byłem wychowywany tak, aby zawsze stawiać potrzeby mojego kraju na pierwszym miejscu. Są gorsze rzeczy niż poślubienie pięknej kobiety, która podziela moją miłość do medycyny.

- A jeśli ten plan nie wypali? Jeśli ludzie w ogóle nie przejmą się naszym małżeństwem?

- Przejmą się. Zaufaj mi. - Przerwał na chwilę. - Gino, wyjdiesz za mnie?

Pytanie zawisło w powietrzu.

Nie rwała się do tego ślubu, ale po obejrzeniu wiadomości prześladowały ją wizje katastrofy. Nie chciała być pionkiem w grze, ale jako córka swojego ojca miała wobec niego pewne obowiązki. Jak rodacy go zapamiętają, jeśli ona odwróci się od nich?

Może nie wpojono jej tyle honoru i poczucia obowiązku ile Ruarkowi, jednak te cechy nie były jej zupełnie obce. Błękitna krew zobowiązuje.

Czekanie na wielką namiętność może okazać się niewarte tak wysokiej ceny.

- Przystaję na twój plan - zgodziła się niechętnie - ale martwi mnie jedna rzecz.

- Słucham.

- A jeśli kogoś poznasz? Zakochasz się? Co wtedy?

- To się nie wydarzy.

- Skąd wiesz?

- Gino, mam trzydzieści pięć lat. Spotykałem się z wieloma kobietami, przeżyłem kilka poważnych związków. Zakochiwanie się jest mocno przeceniane. O wiele lepiej jest budować związek na wzajemnym szacunku i wspólnych zainteresowaniach.

- To dosyć cyniczny pogląd.

- W istocie wszyscy liczą po prostu na sympatyczne towarzystwo.

Wierzę, że to właśnie znajdziemy, wypełniając nasz obowiązek.

- Oby. Ale to małżeństwo... Chcesz, żeby było prawdziwe?

Pokiwał głową.

- W każdym znaczeniu tego słowa?

- W innym razie nie będziemy przekonujący - rzekł łagodnie.

- Tak, ale... - Znając jego poglądy, zrezygnowała z powiedzenia „kochanie się” i użyła innego sformułowania. - Uprawianie seksu z nieznanym, tym bardziej moim szefem, będzie dla mnie trudne.

- Nie, jeśli będziesz o mnie myśleć przede wszystkim jako o swoim mężu.

Mąż. Aż jej zaschło w gardle.

- Ale rozumiem twoje obawy i na pewno dam ci czas, abyś mogła się przystosować.

- Ile?

Popatrzył na nią jak drapieżnik wietrzący smaczny kąsek.

- Zobaczymy.

Wolałaby usłyszeć konkretną datę, ale świadomość, że Ruark daje jej czas, osłabiła jej zdolności negocjacyjne.

- Dobrze.

- W takim razie zacznę działać. - Wstał, zatrzymał się przy jej krześle, przytulił ją i oparł brodę na czubku jej głowy. - Uda się nam, zobaczysz.

- Nie jestem przekonana - powiedziała sztywno, starając się zachować dystans.

- Ja wierzę za nas oboje - odparł, zanim uniósł jej brodę, aby ją pocałować.

Dotyk jego ust był delikatny, Ruark obejmował ją lekko, mogłaby więc się odsunąć, gdyby chciała, ale tego nie zrobiła. Ten pocałunek dodał jej otuchy, jakby w ten sposób Ruark przelał w nią odrobinę swej pewności siebie. Wcześniej przekonała się, że może mu zaufać jako lekarzowi. Teraz ufała mu jako człowiekowi.

W końcu się odprężyła, świadoma tego, że pieszczota przypieczętowała ich umowę znacznie wyraźniej niż słowa czy uścisk dłoni. A potem Ruark powoli się odsunął i ta cudowna chwila przeminęła.

- Twój ojciec byłby z ciebie dumny - powiedział Ruark miękko.

- Tak sądzisz? Nie wiem, czy pochwalałby takie udawanie. Bo nasze uczucia nie są szczerze, prawda?

- Co do uczucia, to nieważne, jak się zaczyna. Ważne jest to, jak się kończy.

Następnego ranka Ruark wkroczył na oddział z uśmiechem. Poprzedni wieczór udał się znacznie bardziej, niż przypuszczał. Gina się zgodziła i tylko to się liczy. Dopiero gdy oprowadzał ją po domu, który wkrótce miał stać się także i jej domem, uświadomił sobie wyjątkowość tej sytuacji.

Żeni się.

Ślub z Giną nie był już tylko teorią. Wymienili przyrzeczenia i to wzmocniło jego zaangażowanie.

Będzie miał żonę, a kiedyś pewnie i dzieci.

Nie czuł lęku czy zdenerwowania. Gdy ją całował, ogarnęło go zaskakująco silne pożądanie. Jej zapach i dotyk prawie pozbawiły go

samokontroli. Narzucanie się tuż po przypieczętowaniu umowy byłoby niestosowne, postanowił więc być cierpliwy. Silny pociąg fizyczny zdawał się potwierdzać, że będą cieszyli się takim samym szczęściem, jak jego rodzice.

Nie chciał się żenić mimo ich nacisków, bo nigdy wcześniej nie spotkał nikogo, kogo poważnie brałby pod uwagę. Kiedy poznał Ginę, poczuł się tak, jakby do akcji wkroczyło przeznaczenie. To było o wiele prawdziwsze niż mglista wizja miłości, której wszyscy szukali, a mało kto znajdował.

Jej obawy o to, że kiedyś może się zakochać w innej kobiecie, były pozbawione podstaw. Był z wieloma kobietami, które wyznawały mu miłość, a potem odchodziły. Przyjaźń połączona z odpowiednią dozą pożądania nie narazi go na zranienie. Nie spodziewał się niczego więcej i wierzył, że jasno przedstawił Ginie swoje uczucia. Nie chciał, aby oczekiwała czegoś, czego nie może jej dać.

Zresztą wczoraj Gina, gdy oprowadzał ją po domu, zachowywała się z rezerwą. Podejrzewał, że zaprotestuje, gdy pokazał jej ich wspólną już wkrótce sypialnię, ale ona tylko zbladła i poprosiła o pozwolenie na umieszczenie w rogu dębowej toaletki, należącej jeszcze do jej matki.

Była to jej pierwsza i jedyna prośba. Zgodziłby się na wszystko, byle tylko zobaczyć jej uśmiech.

Czuł, że powinien zrobić wszystko, aby ułatwić jej przejście w nowe życie. W przeciwnym bowiem razie nie wypracują przyjaznej relacji, na której tak mu zależy.

Miał też inne powody, aby chcieć zminimalizować jej stres związany z szybkim zamążpójściem. Wyglądała na zagubioną, jakby wszystko, co wiedziała i w co wierzyła, zostało jej nagle odebrane, a jej żalosna mina raniła jego serce.

Uznał, że w końcu Gina odzyska pewność siebie, a do tego czasu chciał stać się dla niej kimś ważnym. Tylko wtedy w ich związku się ułoży.

Wyszedł z za rogu i zobaczył ją w otoczeniu personelu, przy dyżurce pielęgniarek, ubraną w świeżo wykrochmalony fartuch narzucony na śliwkowy uniform. Jej włosy lśniły w świetle jarzeniówek. Jedno spojrzenie na nią wystarczyło, aby zapomniał o aktówce pełnej dokumentów i o tym, że na dworze pada deszcz.

- Dzień dobry - powiedział, starając się ukryć radość, jaką wywołało w nim to spotkanie.

Gina odwróciła się do niego, a jej twarz pokryła się rumieńcem.

- Dzień dobry - mruknęła z rezerwą.

Chcąc, aby się rozluźniła, skierował rozmowę na tematy zawodowe.

- Dzieje się coś ciekawego? - zapytał, lustrując wzrokiem tablicę.

- Hm, tak, ten problem ortopedyczny.

- Nietypowy uraz?

- Można tak powiedzieć. Zawiniły buty na obcasie.

- Co się stało?

- Pacjentka zasnęła i kiedy biegła do samochodu, wysoki obcas ugrzązł w szczelinie chodnika. Upadła i nadwyrężyła kolano, chcąc ratować rajstopy.

- Żartujesz?

- Skąd, zniszczenie ostatniej pary rajstop to poważny problem. Upadła i usłyszała trzask w kolanie.

- Zerwane więzadło?

- Tak myślę, ale czekam na ortopedę, który mógłby to potwierdzić.

Tymczasem pacjentka okłada kolano lodem i przeklina obcasy. - Uśmiechnęła się smutno. - Dla urody trzeba cierpieć.

- Musisz przyznać, że wysokie obcasy są seksowne.

- Naprawdę tak myślisz? - Jego opinia chyba autentycznie ją zainteresowała.

- Mówię ci. A co do naszej małej uroczystości...

- Co z nią? - zapytała, kierując się do jego gabinetu, aby odbyć rozmowę w bardziej prywatnym miejscu.

Wyczuł zainteresowanie Lucy i innych pielęgniarek, ale się nie poruszył.

- Jutro wieczorem o ósmej. Kaplica na piętrze.

- Jak... Kiedy... udało ci się to załatwić?

- Dla chcącego nic trudnego - rzekł radośnie. - Miałem bardzo pracowity poranek.

Zresztą i tak nie mógł zasnąć. Po tym, jak odwiózł Ginę do domu, zadzwonił do rodziców, aby podzielić się z nimi wiadomością. Byli wniebowzięci. Zgoda Giny oznaczała początek końca ich problemów, a dodatkowo jeszcze ich najmłodszy syn nareszcie się ożeni.

- Jaka mała uroczystość? - zapytała Lucy, nie kryjąc ciekawości.

Ruark otoczył Ginę ramieniem, przyciągnął ją do siebie i przytulił.

- Pobieramy się. Wszyscy jesteście zaproszeni.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ogłoszenie Ruarka zelektryzowało personel izby przyjęć. Wszyscy nagle ich otoczyli i zasypali pytaniami.

- Jak się poznaliście?
- Od dawna to planowaliście?
- Gdzie spędzacie miesiąc miodowy?

Gina nie uciekała dotąd od problemów, teraz jednak miała ochotę zaszyć się w mysia dziurę. To Ruark zaplanował tę szopkę, więc sam powinien sobie z nią poradzić. Mimo to dzielnie trwała u jego boku. Pozwoliła się objąć i próbowała udawać przejętą przyszlą pannę młodą. Zapach Ruarka i zdecydowany uścisk pomogły jej wejść w rolę.

- Mamy nadzieję, że wszyscy przyjdziecie - zakończył Ruark, po czym zaciągnął ją do gabinetu.

- Następnym razem uprzedź mnie, zanim zrzucisz taką bombę - powiedziała, gdy zostali sami. - Chyba że chcesz, żebym ogłosiła, kim jesteś, Wasza Wysokość.

- Jutro i tak wszyscy się dowiedzą. A przy okazji, potrzebne mi są klucze do twojego mieszkania.

- Po co? Sama się spakuję.
- Hugh i Joachim muszą zainstalować w nim system alarmowy.
- System alarmowy? A po co?
- To konieczne. Albo alarm, albo ochroniarze obserwujący mieszkanie z ulicy.

Wzdrygnęła się na myśl o reakcji sąsiadów na to drugie rozwiązanie. Poza tym pomyśl, że ktoś ma śledzić każdy jej krok, napawał ją niechęcią, był



nie do przyjęcia. Już lepiej mieć stróża elektronicznego niż takiego z krwi i kości.

- Klucze mam w szafce. Przyniosę je.

Wróciła po chwili.

- Proszę. Coś jeszcze?

- Na razie nie.

Wyszła z gabinetu Ruarka, modląc się o to, żeby zająć się czymś absorbującym. Chwyliła pierwszą z brzegu kartę, ale szybko okazało się, że nowy styl pracy oddziału zakłóca jej rytm. Ruark nalegał, aby wszystkie kwestie administracyjne przekazywać jemu, czemu niechętnie się podporządkowała.

- Pani doktor, doktor Casey jest chory. Trzeba znaleźć zastępstwo.

- Proszę to przekazać doktorowi Thomasowi.

- Pani doktor, zaopatrzenie nie dostarczy sześciomililitrowych strzykawek, ponieważ zostały wycofane. Jakże zamówić w zamian?

- Dziesięciomililitrowe, ale proszę to skonsultować z doktorem Thomasem.

Niestety, większość spraw wracała do niej. Ruark wciąż jeszcze poznawał nowe miejsce pracy, przez co musiała radzić sobie z tymi samymi problemami dwa razy.

- Gino, gdzie jest lista lekarzy na zastępstwo?

- W gabinecie, w górnej szufladzie.

- Kto kieruje sekcją zaopatrzenia?

- Jessie Ames. Wewnętrzny 4125.

- O czym myślisz?

O tobie jako moim mężu. Chociaż mówili o tym poprzedniego dnia, trudno było jej oddzielić Ruarka, z którym ma wziąć ślub, od Ruarka Thomasa, jej przełożonego.

Gdy spoczął na niej jego wzrok, skupiła się na pacjencie.

- O Rogerze Davisie. Ma sześćdziesiąt trzy lata i cukrzycę typu drugiego.

Wymiotuje od wczoraj rano.

- Przyjmuje insulinę?

- Twierdzi, że tak. Nie ma gorączki, biegunki, bólów głowy ani klatki piersiowej. Jest lekko odwodniony, dlatego podłączyliśmy kroplówkę.

- Wcześniejsze choroby układu pokarmowego?

- Dotychczas żadnych.

- Zleciliśmy badania?

- Czekamy na wyniki. Poziom glukozy we krwi czterokrotnie przekracza normę. Jest w zasadzie krytyczny.

- Zatrucie pokarmowe?

- To możliwe.

- Chcesz, abym skonsultował ten przypadek?

- Bardzo.

Zaprowadziła go do pokoju. Pan Davis siedział na brzegu łóżka, ubrany w zieloną hawajską koszulę i jasnobrązowe spodnie.

- To jest doktor Thomas - przedstawiła Ruarka Gina. - Ma pan dzisiaj szczęście, dostał pan nas dwoje w cenie jednego.

- Nie czuję się szczęściarzem, wręcz przeciwnie. Czy możecie zrobić coś, żebym w końcu przestał wymiotować?

- Pracujemy nad tym - odparł Ruark. - Czy jest pan w stanie utrzymać w żołądku cokolwiek? Herbatę, kawę?

- Nie na długo.

- Ma pan problemy z oddawaniem moczu?
- Nie zauważyłem, więc chyba nie.
- Zbadamy panu mocz. - Ruark zwrócił się do Giny.
- Już pobraliśmy. Czekamy na wynik.
- Proszę tu poczekać, zaraz wrócimy.
- Jakies pomysły? - zapytała, gdy wyszli na korytarz.
- Może to infekcja dróg moczowych.
- Myślałam o tym. - Gina podeszła do Ruby. - Czy są już wyniki badań

pana Davisa?

- Właśnie przyszły.
- Miałeś rację. - Gina podała papiery Ruarkowi.
- Tyle że zapalenie pęcherza nie powinno powodować wymiotów, nawet u diabetyka.
- Co masz na myśli?
- To posocznica. W jakiś sposób bakteria, która zainfekowała pęcherz, dostała się do krwiobiegu i zaatakowała system immunologiczny. Jeśli tego nie wyleczymy, dojdzie do zapalenia naczyń i wysiądą nerki.

Gina natychmiast wezwała Ruby.

- Zadzwoń do laboratorium. Niech zrobią posiew. - Odwróciła się do Ruarka. - Podać antybiotyk?

Uśmiechnął się.

- Świetny pomysł, pani doktor.

Zdażyła już sobie pogratulować w duchu, że jednak potrafi traktować go jak kolegę z pracy, gdy niespodziewanie nakrył jej dłoń i zaczął zataczać palcami kółeczka w jej wnętrzu. Gina poczuła nagłą słabość w kolanach, wzdłuż kręgosłupa przebiegł jej przyjemny dreszcz. A w jego oczach wyczytała tyle obietnic, tyle pasji... i frustracji, jakby marzył o czymś znacznie

bardziej intymnym. Ona też tego pragnęła. Co takiego jest w tym mężczyźnie, że przy nim czuje się jak zadurzona nastolatka?

Obiecał jej, że nie będą się spieszyć, ale teraz czuła, że wylądują w łóżku, zanim wyschnie atrament na akcie ich małżeństwa.

- Ach, zapomniałem ci powiedzieć o Janice Myers.

- Co znalazł Horton?

- To był wyrostek. Czerwony, nabrzmiały, na granicy perforacji. Gdyby zwlekał jeszcze chwilę, doszłoby do zapalenia otrzewnej.

- Więc miałam rację.

- I wszyscy już o tym wiedzą. Z tego, co słyszałem, Frank strasznie na ciebie narzekał, gdy wioził pacjentkę do sali operacyjnej, a kiedy ją otworzył, wyrostek prawie eksplodował mu w twarz. Pielęgniarki podobno naciskają, aby cię przeprosił, więc bądź gotowa.

Roześmiała się, uszczęśliwiona tym, że instynkt jej nie zawiódł.

- Jasne. Idziesz ze mną do pacjenta?

- Nie mogę. Mam masę papierkowej roboty przed naszą randką.

- Randką?

- Myślałem, że zjemy razem kolację.

- Nic z tego. - Potrząsnęła głową. - Pan młody nie może widzieć panny młodej przed ślubem. To przynosi pecha.

- Myślałem, że tylko w dniu ślubu...

- Możliwe, ale ja muszę zrobić masę rzeczy jeszcze przed jutrem.

- Aha, zmieniłem grafik tak, abyśmy mogli oboje wziąć potem kilka dni wolnego. Nie będzie to najdłuższy miesiąc miodowy w historii, ale zawsze coś.

Gina zaczerwieniła się - nie poświęcała zbyt dużo myśli temu, co będzie po ceremonii. Pewnie następnego dnia po prostu przyszłyby do pracy, rujnując obraz szczęśliwej zakochanej pary.

- W ogóle o tym nie pomyślałam.

- Ale ja tak.

- Ale ja nie. I w tym problem. - Spróbowała uwolnić dłoń, lecz Ruark jej nie puścił.

- Nie widzę żadnego problemu.

- Bo nie chcesz. Przecież to się nie uda.

Zmarszczył brwi i wciągnął ją do najbliższej pustej salki.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo ja popełnię masę błędów i wkrótce wszyscy się przekonają, że to małżeństwo to farsa - Wyjęczała płaczącym tonem. - Grafik to doskonały przykład. Ja następnego dnia po prostu poszłabym do pracy.

- Naprawdę myślisz, że nie zauważyłbym, gdybyś wstała o piątej rano? Że bym cię nie zatrzymał?

W jego głosie było tyle niedowierzania, że ją to zawstydziło, wyprostowała się jednak i popatrzyła mu w oczy.

- Właśnie, musiałbyś mnie zatrzymać. A jeśli nie będzie cię w pobliżu, aby uchronić mnie od wpadki? Powiem albo zrobię coś głupiego i...

- Jesteś dla siebie zbyt surowa. Za kilka dni przywykniesz i wszystko się ułoży.

- A jeśli nie?

- Wtedy ludzie zaczną myśleć, że moja małżonka jest postrzeloną blondynką i będą mi współczuć.

Spojrzała na niego, mrużąc gniewnie oczy.

- Czy ty właśnie nazwałeś mnie postrzeloną blondynką? - Żartobliwie uderzyła go w ramię. - To oznacza wojnę.

- Zrozumiałem. Co do błędów, to zdarzają się wszystkim. Po prostu przestań się martwić.

- Czy to rozkaz?
- Oczywiście. - Uniósł jej podbródek i spojrzał w oczy. - Już lepiej?
- Tak, dzięki.

Delikatnie zatknął niesforne pasmo włosów za jej ucho i ją pocałował. Najpierw delikatnie, potem bardziej zaborczo. Gdy Gina rozchyliła usta, dotknął jej języka, rozpalając w niej namiętność. Instynktownie otoczyła ramionami jego szyję i stanęła na palcach, aby się w niego wtulić. Jego usta przeniosły się z jej warg na policzek, potem w stronę ucha, aż w końcu rozpoczęły wędrówkę po jej karku. Odchyliła głowę, pragnąc więcej, gdy nagle usłyszała za drzwiami kroki.

On także musiał je usłyszeć, bo zastygł w bezruchu, a potem puścił ją i uśmiechnął się.

- Nic nie mów - nakazała, poprawiając włosy i ubranie.
- Gino?
- Słucham?
- Wyglądasz...

Jeszcze raz sprawdziła, czy wszystko w porządku.

- Tak?
- Teraz wyglądasz na zaręczoną.

Gina kurczowo ścisnęła w rękach bukiet kwiatów, który Ruark podarował jej tuż przed ceremonią, boleśnie świadoma tego, że on, teraz już jej mąż, wchodzi z nią do domu. W czarnym smokingu wyglądał oszałamiająco, dlatego cieszyła się, że sama wybrała białą koronkową sukienkę do łydki, która wirowała kusząco wokół jej nóg. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni czuła się tak kobieco.

- Wszystko wypadło świetnie, prawda?
- A czego się spodziewałaś?

- Szczerze mówiąc, sama nie wiem. Naprawdę zadbałeś o wszystko.

Kapelan szpitalny udzielił im ślubu w obecności trzydziestu gości. Potem przeszli do sali konferencyjnej na niewielkie przyjęcie. Oprawę muzyczną stanowił kwartet smyczkowy, a wszystko udekorowano tymi samymi kwiatami, z których składała się wiązanka Giny.

Ruark zdołał nawet umówić ją z fryzjerką i manikiurzystką.

- Staralem się - powiedział nieco zawstydzony. - Przecież to nasz ślub, chciałem, żebyś miała wszystko.

- Dziękuję - wyszeptała.

- Nie przypisuj całej zasługi mnie. O szczegóły zadbał mój personel.

- I tak świetnie sobie poradziłeś. Może powinieneś zostać konsultantem ślubnym? Marnujesz się jako lekarz.

Roześmiał się głośno. Potem rozluźnił muszkę i zdjął marynarkę.

- Jestem strasznie głodny. Chcesz przetrząsnąć ze mną lodówkę?

Jej żołądek jeszcze się nie uspokoił po nerwowym wieczorze, ale wolała być z Ruarkiem w kuchni, niż rozpakowywać bagaż czy iść do łóżka.

- Jasne, czemu nie.

W kuchni natknęli się na Henriego, który właśnie pakował resztki z przyjęcia. Odprawił ich, obiecując posłać gotową tacę na górę.

- No już, uciekajcie stąd i bawcie się dobrze.

Jego polecenie wydało się Ginie słodkie.

- Czy on zna prawdę?

- Tak, ale w głębi serca jest romantykiem. To jak, idziemy na górę czy do gabinetu, pooglądać telewizję?

Nie była gotowa na wejście do sypialni, wybrała więc to drugie.

- Do gabinetu.

Ale nie mogła skupić się na wiadomościach, prognozie pogody i wynikach meczów. Chodziła po pokoju, przyglądając się fotografiom. Na jednym ze zdjęć zauważyła rodzinę Ruarka w oficjalnych strojach.

- Opowiedz mi o swoich bliskich.

Podszedł do niej.

- To jest mój ojciec, Frederick. Jest królem Marestonii od piętnastu lat, od śmierci dziadka. Moja matka, Christina, jest Szwedką i zajmuje się działalnością charytatywną. Na pewno powita cię z otwartymi ramionami. To jest mój najstarszy brat, George. Jest żonaty, ma dwie córki, trzecie dziecko w drodze.

- To będzie chłopiec czy dziewczynka?

- Nie chcą tego ujawniać. Podejrzewam, że chłopiec, bo George puszy się o wiele bardziej niż dotychczas. - Uśmiechnął się. - A to Pieter. Spotyka się na poważnie z młodą prawniczką, ale nic jeszcze oficjalnie nie ogłoszali.

Co by wyjaśniało, dlaczego obowiązek poślubienia jej spadł na Ruarka.

- Ja jestem trzeci, na pewno mnie rozpoznałaś. A te bliźniaczki to moje siostry, Beatrix i Mary. Bea pisze właśnie pracę dyplomową z finansów międzynarodowych, a Mary kończy fizjoterapię. Ku rozczarowaniu mamy obie są samotne. Moja mama marzy o wnukach.

- Przecież ma już prawie troje.

- Nie będzie usatysfakcjonowana, dopóki każde z nas nie obdarzy jej przynajmniej dwojgiem. Myślałaś o tym, ile ty chcesz mieć?

- Wnucząt? - Zaśmiała się. - Nie, jeszcze nie.

- Dzieci - poprawił ją.

- Zawsze marzyłam o czworgu.

- Naprawdę?



- Tak. Dwie dziewczynki, dwóch chłopców, żeby każde z nich miało towarzysza zabaw. A ty?

- Nie myślałem dotąd o liczbie - przyznał, zanim popatrzył jej w oczy. - Częściej o tym wszystkim, co prowadzi do ich posiadania.

- Jasne - powiedziała sucho. Ponieważ dyskusja zmierzała w kierunku, na który nie była gotowa, odłożyła ramkę i usiadła na kanapie.

Kącikiem oka zauważyła, że Ruark z uwagą ogląda serwis sportowy. To ją zirytowało. Jak może być tak spokojny i skoncentrowany na sporcie, gdy ona zastanawia się, jak to będzie spać obok niego, wiedząc, że on nie marzy o białym małżeństwie?

- Grasz w szachy? - zapytał nagle.

- Jeśli nie masz nic przeciwko przeciwnikowi, który wyszedł z wprawy, z chęcią zagram. - W tej chwili zgodziłaby się na wszystko.

- Białe czy czarne?

- Białe.

- Czarny to mój szczęśliwy kolor - oznajmił.

- A mój biały, więc uważaj.

Zanim Henri nadszedł z tacą, na której umieścił szampana, winogrona, sery i truskawki maczane w czekoladzie, Ruark zdołał zbić większość jej pionków.

- Szachy? - Kucharz zmarszczył czoło, stawiając przekąski na stole. - W noc poślubną?

Ruark sam potrafiłby wymyślić wiele innych, znacznie bardziej przyjemnych sposobów spędzenia tego wieczoru, ale widząc, jak Gina wierci się i stresuje, postanowił zrobić coś, co pomoże jej się odprężyć.

- Cholera!

- Nie trać wiary. Wciąż masz króla.

Obserwował ją, gdy rozważała kolejny ruch. Przygryzała lekko zębami dolną wargę, stukała palcami w blat stołu, bawiła się zbitymi pionkami. Była zdeterminowana, aby nie dać mu wygrać, a przynajmniej nie poddać się bez walki.

- Szach-mat - oznajmił po kilku ruchach.
- Żądam rewanżu - Gina odchyliła się na oparcie krzesła.
- Dobrze, ale najpierw zjedzmy. Umieram z głodu.

Otworzył szampana i podał kieliszek Ginie.

- Chcesz truskawkę?
- Bardzo. - Odgryzła kawałek owocu, który jej podał.
- Grasz całkiem dobrze - zauważył, biorąc truskawkę dla siebie. - Twój ojciec cię uczył?

- Owszem, ale chyba nie powinnam się tym chwalić. Byłam tragiczna. - Roześmiała się.

- Może chciałabyś spróbować szczęścia w czymś innym? Karty, tryktrak, poker? - Och, możliwości, jakie otworzyłby przed nimi poker...

- Dzięki, zostanę przy szachach, chyba że jesteś nimi zmęczony?

Uśmiechnął się.

- Mogę grać, dopóki wygrywam. Dwa mecze później Gina ziewnęła.
- Jeszcze raz, proszę.
- Śpisz na siedząco. Spróbujemy jutro. Idź na górę, ja przyjdę później.

Skinęła głową i wyszła z pokoju. Patrząc na nią, Ruark przypomniał sobie, jak bardzo był zachwycony, widząc ją idącą nawą, w opływającej ciału sukni. Z trudem powstrzymywał się, aby nie gapić się na nią jak ogłupiały szczeniak.

Dopił szampana, mając nadzieję, że dzięki temu zaśnie, gdy tylko przyłoży głowę do poduszki. Jak inaczej zdoła utrzymać przy sobie ręce, tak jak obiecał, gdy delikatny kwiatowy zapach Giny zwodzi go i kusi?

Zastał ją w łóżku, przykrytą do ramion. Zostawiła mu zapaloną lampkę, jak prawdziwa żona, dzięki czemu zobaczył górę jej koronkowego negligu i nagą skórę.

Zdecydowany zachowywać się naturalnie, zignorował naturalną reakcję swojego ciała, rozebrał się, zgasił światło i położył obok niej.

- Gino?

- Tak? - W jej głosie słycać było niepewność.

- Prześlicznie dziś wyglądałaś.

- Dziękuję. Ty też wyglądałeś nie najgorzej.

Przysunął się nieco bliżej i wyczuł jej napięcie.

- Jeśli się nie odprężysz, obudzisz się rano zeszywniała.

- Pewnie masz rację.

- Więc w twoim własnym interesie... - Błyskawicznie wsunął ramię pod jej kark i ułożył ją obok siebie, kładąc się na plecach.

- Co... co ty robisz?

Pogłaskał jej policzek.

- Tulę żonę, abyśmy mogli zasnąć. Dobranoc, Gino.

- Dobranoc, Ruark.

Przez kilka minut czekał na oznaki tego, że usnęła, ale nic się nie wydarzyło. Jej oddech się nie uspokoił, wciąż się wierciła, próbując znaleźć wygodną pozycję. Muskała przy tym bezustannie jego napięte mięśnie, a on zaciskał zęby, próbując zachować resztki kontroli. Co mu strzeliło do głowy? Przecież to miało pomóc im zasnąć, a nie doprowadzać go do szaleństwa.

Jego hormony walczyły z poczuciem obowiązku. Bardzo jej pragnął, ale nie zniósłby świadomości, że ją rani. Złożył obietnicę, a honor nakazuje, aby jej dotrzymać.

- Ruark? - odezwała się cicho.

- Tak? - zapytał cicho.

- Czy dobrze zrobiliśmy?

Skoncentrowany na kontrolowaniu swojego ciała, nie zrozumiał jej pytania.

- Z czym?

- Czy ten ślub to był właściwy krok?

Boleśnie świadomy frustracji, która go ogarnęła, sam zadawał sobie to pytanie. Ale to nie ślub jest problemem. Po prostu niepotrzebnie obiecał Ginie, że da jej czas na oswojenie się z pomysłem, że to on jest jej mężem, i ze wszystkim, co jest z tym związane.

- Tak. - Tego był pewien.

- Przekonaj mnie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Mam cię przekonać?

Zmieniała pozycję, dopóki nie ułożyła się na nim, a jej noga nie znalazła się pomiędzy jego udami.

- Właśnie.

Wolał uniknąć nieporozumienia i nie zaczynać czegoś, czego nie wolno byłoby mu dokończyć, powtórzył więc jej pytanie.

- Chcesz, abym cię przekonał, że zrobiliśmy słusznie, biorąc ślub.

- Okoliczności były raczej niezwykle - zauważyła. - Pobraliśmy się z obowiązku, dla dobra mieszkańców obu krajów, ale chciałabym jakiegoś dodatkowego zapewnienia, że nie popełniliśmy błędu.

- Błędu, jeśli chodzi o nas?

- Właśnie.

Nareszcie ją zrozumiał. Gina nie potrafi ubrać lęków w słowa. I chce usłyszeć to, co każda kobieta na jej miejscu - kwieciste zapewnienia o tym, że ją kocha i nie może bez niej żyć. Ale obiecali sobie szczerą, a on nie może zadeklarować jej miłości, pewnie nigdy. Dla niego było to eufemistyczne określenie pożądania, a tego w obecności Giny mu nie brakowało.

- Zrobiliśmy, co trzeba - oświadczył. - Wiele osób skorzysta dzięki naszemu małżeństwu, ale my też. Mamy z kim iść przez życie. Mamy do kogo wracać wieczorami. Mamy kogoś, kto nas wysłucha i wesprze. Kogoś, kto woli białą czekoladę, więc ciemną zostawia dla mnie.

Roześmiała się.

- Skoro tak mówisz...

- No i mam kogo ogrywać w szachy.

- Jeszcze kilka tygodni treningu i zobaczymy, kto kogo ogra.

- Niezależnie od tego, kto wygra, będziemy dobrze się bawić. Co ważniejsze, nie będziemy musieli już nigdy organizować sobie randki i cierpieć z powodu odrzucenia i złamanego serca.

Znów wybuchnęła śmiechem.

- Ty? Odrzucony? Ze złamanym sercem? Proszę cię. Założę się, że zawsze było odwrotnie.

- Nie zawsze.

- Chcesz o tym pogadać?

- To stara historia.

- Jak stara?

- Sprzed siedmiu, ośmiu lat. Ale zaczęło się wcześniej. Tytuł przeszkadza w zawieraniu znajomości. Trudno znaleźć kobietę, która nie ma ukrytego celu albo taką, która potrafi zobaczyć człowieka schowanego za koroną. Zawsze musiałem być ostrożny.

- Ale ktoś zdołał przedrzeć się przez twój mur obronny?

- Tak. Poznaliśmy się na stażu. Grace była doskonała. Ja pokochałem ją, ona mnie. Przynajmniej tak twierdziła. Spotykaliśmy się przez kilka miesięcy. Pewnego dnia powiedziała, że mnie kocha, a dwa tygodnie później trafił się ktoś lepszy i odeszła.

- Lepszy? Jesteś księciem, na miłość boską!

Uśmiechnął się.

- Moja lojalna żona. To był producent filmowy, który mógł pomóc jej w karierze znacznie skuteczniej niż książkę spędzający pół doby w szpitalu. Zresztą i tak niewiele nas łączyło.

- Widziałeś się z nią ostatnio?

- Nie. Podobno po raz trzeci wyszła za mąż i wciąż czeka, aż ją świat dostrzeże.

Gina w milczeniu starała się znaleźć właściwe słowa. Jego opowieść wiele wyjaśniała - jego cyniczny pogląd na miłość, ciągle podkreślanie wagi posiadania wspólnych zainteresowań, przyjaźni.

Przytuliła się do niego.

- Wróćmy do tematu. Chciałabym wiedzieć więcej o tych wzajemnych korzyściach.

- O korzyściach? Daj pomyśleć. Mam. Nie muszę się martwić doborem krawata, bo ty mi powiesz, który jest odpowiedni. A ja się odwzajemnię, kiedy źle dobierzesz kolczyki do sukienki.

- Aha. I co jeszcze?

- Masz do dyspozycji francuskiego szefa kuchni, który gotuje najlepiej po tej stronie Missisipi, a ja nie będę musiał już wyklócać się z nim o menu.

- I to wszystko?

- Cóż, możemy razem jeździć do pracy, żeby zaoszczędzić na benzynie.

- No, to rozumiem.

- Zaczekaj, najlepsze zostawiłem na koniec. - Przybliżył się do niej i szepnął jej do ucha: - Uważam, że jesteś niezwykle piękna, Gino. - Jego głos się zmienił. - I jesteś moją żoną.

- Wiesz... To uczucie jest wzajemne.

Nareszcie to powiedziała. I zrozumiała, że podoba się jej coś więcej niż jego przystojna twarz i pocałunki, które zwałają z nóg. Jego gotowość do przedkładania potrzeb innych nad własne jest imponująca. Poparł ją w sporze z Frankiem Hortonem. I zrobił, co mógł, aby zapewnić jej niezapomnianą ceremonię ślubną.

Ale jak miałyby w związku z tym postąpić? Odwlekać nieuchronne czy pozwolić, aby ta noc była taka, jak powinna?

- Mamy tylko jedną noc poślubną - powiedziała, mając nadzieję, że Ruark zrozumie jej sugestię.

Zrozumiał ją i zamarł.

- Racja. Ale chciałaś zaczekać.

- Zmieniłam zdanie. Nie musisz się martwić, że wypłam za dużo szampana i nie wiem, co mówię. To był tylko jeden kieliszek. Nie będę rano żałować.

W mgnieniu oka położył się na niej. Poczwała, jak pochyla głowę i dotyka wargami jej policzka. Powoli, nieubłaganie, prowokująco torował sobie drogę do jej ucha, wzdłuż szyi, aż w końcu dotarł do obojczyka.

Koszula nocna, którą kupiła tego ranka, zniknęła niepotrzebna i niechciana. Każdy dotyk, każda pieszczota wciągały ją głębiej w otchłań magicznych odczuć. Ich małżeństwo być może zrodziło się z obowiązku, ale noce takie jak ta na pewno nie będą pomyłką.

- Wasza Wysokość, przygotuję pani śniadanie.

Przyłapaną na wsypywaniu płatków do miski, Gina uśmiechnęła się do Henriego, który wpadł do kuchni z przerażoną miną.

- Nie bądź śmieszny. Sama potrafię to zrobić.

- Oczywiście, że pani potrafi, ale będzie to dla mnie przyjemność.

Grzanki, świeże owoce i jajka na bekonie?

- Tylko płatki. I poproszę dolewkę. - Podała mu kubek. - To najlepsza kawa, jaką w życiu piłam.

Henri rozpromienił się, sięgając po dzbanek.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. Śniadanie podam w jadalni.

- Czy Ruark już jadł?



- Wieki temu. Jest rannym ptaszkiem. Wspominał coś o zaległej korespondencji, na pewno więc zaszył się w gabinecie.

- Dziękuję, Henri.

Przyzwyczajona do samotnych posiłków Gina przejrzała gazetę, zjadła połowę tego, co przygotował dla niej kucharz, i wróciła do sypialni. Nie zaścieliła dotąd łóżka, nie poskładała swoich rzeczy z wczoraj, a do rozpakowania zostały jej jeszcze dwie walizki.

Ku jej zdumieniu w pokoju natknęła się na kobietę w jej wieku, która właśnie robiła to za nią.

- Ależ nie trzeba! - zawołała, zakłopotana tym, że ktoś inny wykonał te wszystkie intymne czynności.

- To należy do moich obowiązków, Wasza Wysokość, które wypełniam z radością. Mam na imię Inga. Będę codziennie do pani dyspozycji.

- Dziękuję, Ingo - powiedziała Gina uprzejmie. - Spróbuję nie przysparzać ci pracy.

- Może przespaceruje się pani po ogrodzie, zanim przyjdzie upał?

Nie może kręcić się po kuchni i sypialni. I nie chciała przeszkadzać Ruarkowi. Może spacer to dobre rozwiązanie? Przy odrobinie szczęścia znajdzie kilka chwastów do wyrwania.

- Tak zrobię.

Ale ogród był utrzymywany w doskonałym stanie przez dwóch pracowników. Usiadła więc w wiklinowym fotelu na patio i zaczęła przyglądać się profesjonalnie rozplanowanemu krajobrazowi, zastanawiając się, co będzie robić przez najbliższe trzy dni. W szpitalu przynajmniej ma swoje miejsce. W domu Ruarka zaczynała się czuć jak bezużyteczny ornament.

Kilka minut później podszedł do niej mąż.

- Tu jesteś.

- Tak, tu jestem.

Usiadł naprzeciwko niej.

- Zadzwoń się? Poznałaś personel?

- Och, tak. Wszyscy są uroczy. Bardzo skorzy do pomocy. - I na tym polega problem. Dotychczas nie miała służby i zajmie jej trochę czasu przystosowanie się do jej posiadania, zwłaszcza jeśli wszyscy będą ją z takim uporem tytułować.

- To dobrze. - Położył przed nią jej wysłużonego palmtopa, tego samego, którego używała jako przewodnika po lekach, procedurach i źródło wszelkiej informacji. - Przepraszam, że wzięłem go bez pytania, ale spałaś, a nie chciałem cię budzić.

- Nie ma sprawy.

- Moja sekretarka uaktualniła twój kalendarz o nasze zobowiązania. Myślałem, że może teraz razem to przejrzymy.

- Wywiad z „Modern Marestonians”. Za dwa dni?

- To pismo to takie połączenie „Pani domu” z „Newsweekiem”. Jest bardzo popularne u nas, a ich reporterzy są naprawdę sympatyczni. To doskonałe miejsce na twój pierwszy wywiad.

- Dzięki - powiedziała sucho. - Bal charytatywny w piątek?

- Na rzecz centrum pomocy rodzinie. Liczba miejsc, w których mogą się schronić ofiary przemocy domowej, jest nadal zatrważająco niska.

- Przecinanie wstęgi?

- Centrum oparzeń w Chicago.

- Chicago? To strasznie daleko.

- Nie, jeśli polecimy prywatnym samolotem. Przecinanie wstęg, loty na środkowy zachód, oficjalne wydarzenie co tydzień. Jej książęce obowiązki chyba będą zabierać więcej czasu, niż Ruark utrzymywał. - Przez jakiś czas

będziemy zajęci, bo jesteśmy nowością. Ale wkrótce zdetronizuje nas aktorka prowadząca auto pod wpływem alkoholu albo polityk homoseksualista rozwodzący się z żoną.

To zapewnienie ją rozbawiło.

- Myślisz, że będziemy mieć takie szczęście?

- Jestem pewien. - Nagle spoważniał. - Pamiętaj, zawsze jestem tuż obok.

- Oby, bo pewnie nie będę wiedziała, co powiedzieć.

- Ja to załatwię. Ty masz tylko wyglądać pięknie i uśmiechać się jak szczęśliwa panna młoda. Jakieś uwagi?

- Co do tego sobotniego wywiadu. O co będą pytać?

- Nikt w Marestonii cię nie zna, będą więc pytać o dzieciństwo, rodziców, szkoły. I oczywiście, w świetle ostatnich wydarzeń, będą chcieli zobaczyć, jak godzimy przeszłość z teraźniejszością. Po prostu mnie obserwuj i będzie dobrze.

- Aha.

- Będzie coraz łatwiej - zapewnił ją. - Mamy szczęście o tyle, że moje życie dotychczas było nudne w porównaniu z życiem reszty rodziny królewskiej, prasa zostawiała więc mnie w spokoju. Gdy tylko wieść o naszym ślubie spowszednieje, znów staniemy się praktycznie niewidzialni.

Oby tylko ta niewidzialność nie przyszła za późno, pomyślała Gina, stojąc przed lustrem w sobotnie popołudnie. Odkąd oficjalnie podano do wiadomości, że się pobrali, prezenty płynęły do domu nieprzerwaną falą, a sekretarka Ruarka została zasypana prośbami o wywiady i fotografie. Ku uldze Giny, Ruark zdjęcia rozdawał hojnie, ale audiencji udzielał rzadko. Miała nadzieję, że również dzisiejszy wywiad minie bez incydentów.

Wiele od tego zależało. Ostatnie wiadomości z Avelonii i Marestonii pokazały, że oba kraje trwają w niepewności. Nastroje wahały się od nadziei

do sceptycyzmu i zwątpienia w alians dwóch domów panujących, ale zaprzestano przemocy, co analitycy polityczni przyjęli jako dobry znak. Ale Gina nie potrzebowała Ruarka czy ambasadorów, by stwierdzić, że rozejm jest bardzo kruchy. Dziś musi udowodnić, że ich historia to współczesna bajka.

Nagle dopadło ją poczucie winy. Noce były wspaniałe, wręcz spektakularne, ale przecież się nie kochali. Co to mówi o jej charakterze, moralności, jeśli tyle radości znajduje w ramionach mężczyzny, który nic do niej nie czuje? Co gorsza, ona również nie jest w nim zakochana.

Poczucie winy przerodziło się w zażenowanie tym, jak łatwo uległa jego urokowi.

- Kochanie, wyglądasz prześlicznie. - Ruark wyszedł z łazienki, poprawiając krawat.

Uginając się pod ciężarem wątpliwości, które ją opadły, zdołała tylko wyszeptać:

- Dziękuję.

Stanął za nią, wysoki i przystojny, w ciemnoszarym garniturze.

- Co się stało? Źle się czujesz?

- Nic mi nie dolega.

- Jesteś pewna?

- Owszem - powiedziała sucho.

- Mówię poważnie. Jeśli źle się czujesz, powinnaś odpocząć. Możemy to przełożyć.

Dotyk jego palców wpłynął na nią kojąco, tak jak oczywista troska, którą okazał, a poczucie winy i wstydu zniknęło. Niezależnie od powodów, dla których się pobrali, teraz są małżeństwem. Na dobre i na złe, powinna więc znajdować radość w ich związku tam, gdzie tylko może.

Nie czuje wprawdzie wielkiej namiętności, którą sobie zawsze wyobrażała, ale ufa mu, szanuje go i ceni jego towarzystwo. Nie ma powodów do wstydu. A gdyby była ze sobą szczerą, już dawno przyznałaby, że Ruark jest mężczyzną, którego może pokochać. W zasadzie już jest w połowie drogi.

On może jej nie kocha, ale na pewno mu na niej zależy. Jego obawa o jej zdrowie jest szczerą i na pewno płynie z głębi serca. A z czasem może on też poczuje coś więcej.

- Naprawdę nie trzeba. Jestem po prostu zdenerwowana. Kiedy myślę o tym, że każdy nasz gest, każde słowo będzie poddawane szczegółowej analizie...

- Zachowuj się naturalnie, a reporterka zobaczy tylko dwoje nowożeńców, którzy poświęcili kilka godzin swego cennego miodowego miesiąca na to, aby podzielić się z ludźmi swoją historią.

- Cennego? - Roześmiała się.

- Kiedy masz tylko trzy dni, każda minuta jest cenna. A poważnie, po prostu bądź sobą.

- Być sobą. Rozumiem. Ale ona będzie głęboko rozczarowana, kiedy zorientuje się, że myślę i działam jak lekarz, nie jak księżniczka.

- Ale teraz pełnisz obie te role. Może to ci pomoże. - Podeszedł do swojej komody, otworzył szufladę i wyjął z niej futerał na biżuterię. - To dla ciebie.

- Co to?

- Prezent od moich rodziców.

- Od twoich rodziców? Ale to nie diadem ani żaden inny księżniczkowy drobiazg? - zapytała podejrzliwie, zastanawiając się jednocześnie, czy bardzo naruszy etykietę, jeśli odmówi włożenia tego na wywiad.

Roześmiała się.

- Diademy są zarezerwowane na święta państwowe. I to nie jest diadem. Ale mam nadzieję, że ci się spodoba. Przyszło wczoraj w nocy. No, dalej, otwórz.

Na aksamitnej poduszczyce leżał wisiołek z mieniającym się brylantem w kształcie łzy. Gina nie znała się zbytnio na drogich kamieniach, ale wielkość tego sugerowała, że był potwornie drogi.

- Jest piękny.

Ruark wyjął srebrny łańcuszek i zapiał go na jej szyi.

- Należał do mojej matki. Prosi, abys go nosiła z jej błogosławieństwem.

Mój ojciec podarował jej go w dniu, w którym się urodziłem.

- Jest cudowny. Podziękuj ode mnie swojej mamie.

- Cieszę się, że ci się podoba. - Jego uśmiech wyrażał ulgę, jakby wcześniej się obawiał, że odrzuci upominek, który tyle znaczył dla niego i rodziny. - Ale podziękujesz jej sama.

- Masz rację.

- Będziesz mogła przy okazji wypytać o wszystkie moje wady.

- A dużo ich masz?

- Setki. A nawet więcej. Zależy od tego, kogo zapytasz. - Uśmiechnął się.

- Nie chcę psuć ci nastroju, ale twoja babcia również byłaby wdzięczna za telefon.

Gina momentalnie zeszywniała.

- Z pewnością, ale ja nie jestem na to gotowa.

- Nie musisz się z nią spotykać. Tylko porozmawiaj.

- Nie wiedziałabym, co powiedzieć.

- Mogłabyś zacząć od podziękowań za prezent, który nam przysłała.

- Wyślę kartkę.

- Chciałaby cię odwiedzić.

- Nie zawsze możemy dostać to, czego chcemy.
- Nie możesz wiecznie chować urazy.
- Nie chowam urazy. Po prostu nic nie czuję. - Dla niej ta kobieta była

tylko nazwiskiem, sławną osobą, kompletnie jej nieznaną.

Tak jak Ruark kilka dni wcześniej. I do czego ją to doprowadziło? Teraz jest jego żoną. Odetchnęła głęboko, czując na sobie jego wzrok.

- Doceniam twoją mediację, ale nie jestem na to gotowa. Babcia powinna być zadowolona, że w ogóle zgodziłam się na ten plan, podczas gdy mogłam po prostu zignorować problemy Avelonii.

- To twoja decyzja, ale pamiętaj, że ona nie robi się coraz młodsza.

Miała coś mu odpowiedzieć, gdy w oddali rozległ się dzwonek. Ogarnęła ją panika.

- Ojej, już tu są. I to wcześniej.

Ruark pogłaskał ją po ramieniu i przytulił.

- To nawet lepiej. Będziesz miała mniej czasu na zamartwianie się.

- Ja się nie zamartwiałam.

- Jasne, że nie. Dasz sobie radę.

- Może powinnam się przebrać w coś bardziej wyszukanego?

- Wyglądasz fantastycznie.

- A jeśli zadadzą mi pytanie, na które nie będę umiała odpowiedzieć?

- Ściśnij moją rękę, a ja je przejmę.

- Ostatnie rady?

- Uśmiechaj się i wyglądaj, jakbyś mnie uwielbiała. Mrugnął do niej

zawadiacko, na co wybuchnęła śmiechem.

- Skoro nalegasz...

Zanim zeszli na dół, Ruark osiągnął to, co zamierzał - usunął z twarzy Giny minę królika złapanego w potrzask. Louise Amandine po raz pierwszy ujrzała jego małżonkę jako zrelaksowaną i szczęśliwą pannę młodą.

Wkrótce okazało się, że reporterka jest o wiele bardziej zainteresowana Giną niż nim, co mu odpowiadało. Podobało mu się siedzenie obok Giny, trzymanie jej za rękę i przysłuchiwanie się, jak dzieli się z dziennikarką anegdotami z dzieciństwa.

Jednak mam w życiu szczęście, pomyślał. Ożenił się, aby wypełnić zobowiązania rodzinne, uważał miłość za przeżytek, a jednak poślubił kobietę, którą lubi i której towarzystwo sobie ceni. Gina jest piękna, inteligentna, fascynująca i po trzech dniach trwania tego związku nie mógł sobie wyobrazić innej kobiety w roli żony.

- Wasza Wysokość - Louise przeniosła wzrok na niego - wasze małżeństwo jest niezwykle istotne dla sojuszu łączącego Avelonię i Marestonię. Czy w związku z tym zamierzacie zorganizować bardziej oficjalną ceremonię w którymś z krajów, w obecności waszych rodzin?

Gina uśmiechała się, gdy na niego spojrzała, ale poczuł, jak ściska jego dłoń.

- Na razie nie - odpowiedział.

- Nie uważa Wasza Wysokość, że taka ceremonia byłaby widocznym dowodem pojednania? - naciskała Louise. - Jak wiadomo, jesteśmy dumni z naszej rodziny królewskiej, a w naszym kraju już dawno nie mieliśmy okazji świętować równie podniosłego wydarzenia.

- Nasze grafiki są dosyć napięte, dlatego jesteśmy szczęśliwi, że w ogóle udało nam się pobrać.

- Wszyscy rozumiemy pragnienie Waszych Książęcych Mości, aby pobrać się w kraju, w którym oboje pracujecie i mieszkacie, ale niektórzy



mogą stwierdzić, że dzielenie tak podniosłej chwili ze swoimi poddanymi to wasz obowiązek - napomknęła Louise przebiegle.

- Weźmiemy tę sugestię pod uwagę.

- Dziękuję. - Zwróciła się do Giny. - Bardzo miło było mi poznać Waszą Wysokość. Proszę przyjąć ode mnie najlepsze życzenia z okazji ślubu.

- Dziękuję - wymamrotała Gina.

Hugh odprowadził reporterkę do drzwi. Gdy wyszła, Gina opadła na kanapę.

- Nie chcę więcej przez to przechodzić.

- Byłaś świetna. Jadła ci z ręki.

- Ale nie dawała mi spokoju w sprawie tej formalnej ceremonii. Jeśli jeszcze raz usłyszę słowo obowiązek, zacznę krzyczeć.

Ruark uśmiechnął się i przyciągnął ją bliżej.

- Na razie nie jest źle, prawda?

- Nie - przyznała. - Ale chyba nie bierzesz na serio jej sugestii?

- Taka opcja zawsze istniała i wolałbym, abyśmy jej uniknęli, ale zaszedliśmy już za daleko.

- Wiem, ale...

- Ale co?

- Ja chcę być lekarzem. Chcę leczyć ludzi, a nie stać w świetle reflektorów i udawać kogoś, kim nie jestem.

Rozumiał ją doskonale.

- Ludzie powinni zaakceptować fakt, że nie chcemy przechodzić przez całą tę oficjalną szopkę.

- Powinni - przytaknął - ale Louise zwróciła uwagę na kilka ważnych rzeczy. Rodzina królewska to część tożsamości narodowej w naszych krajach.

Traktowanie tego jak czegoś zwyczajnego kłóci się z podstawowymi zasadami naszej egzystencji.

- Będziemy musieli to zrobić, prawda?

- Może. - Wymigiwał się od jednoznacznej odpowiedzi, próbując ją pocieszyć. - Jeszcze za wcześnie, aby wyrokować. Poza tym opinie Louise Amandine mogą nie odzwierciedlać tych powszechnie panujących. Poczekamy i zobaczymy, co się stanie.

Może wcześniej istniała szansa na to, aby uniknąć oficjalnych uroczystości, ale fakt, że Louise poruszyła ten temat, zmniejszył je prawie do zera. W głębi serca Ruark wiedział, że to nieuniknione. Nie zdziwiłby się, gdyby okazało się, że jego rodzice i kilkoro zaufanych członków najbliższego personelu już wszystko planuje - od listy gości po menu.

Gina nie będzie zadowolona i ta perspektywa go niepokoiła. Pobrali się z powodów praktycznych, ale nie chciał, by zaczęła żałować swojej decyzji. Gotów był na wszystko, aby uczynić ją szczęśliwą.

Nie rozumiał tylko, dlaczego tak wzbrania się przed uroczystym ślubem. Karety ciągnięte przez konie, ludzie zgromadzeni na ulicach, aby winszować i rzucać kwiaty, świętość katedry, suknia ślubna - czyż nie jest to bajkowa ceremonia, o której każda kobieta marzy?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- A oto i młoda para!
- Witamy z powrotem!

Gina uśmiechała się do członków personelu, którzy zaczęli witać ją i Ruarka, gdy tylko przekroczyli próg izby przyjęć. Wszystko, od rozdzwonionych telefonów po znajomy zapach płynu dezynfekującego sprawiało, że czuła się, jakby w końcu wróciła do domu. Reszta jej życia zmieniała się dramatycznie, ale Belmont pozostało jej opoką.

- Miło wiedzieć, że tęskniliście.
- Oczywiście, że tak - powiedziała Lucy. - Bez ciebie to nie to samo.
- Jak udał się miesiąc miodowy? - zapytał ktoś.

Gina spojrzała na Ruarka, który wydawał się być równie zainteresowany jej odpowiedzią, jak wszyscy inni, i uśmiechnęła się do niego.

- Wspaniale. - I tak było. Ruark sprawił, że tych kilka dni było cudowne.

Szczyście Giny zakłócała tylko świadomość, że ich życie nadal nie należy do nich. Wywiad przybliżył widmo oficjalnego ślubu. Ruark starał się jej wmówić, że to nie będzie konieczne, aby oszczędzić jej zmartwień, ale instynkt mówił jej coś innego.

Na szczęście nic jeszcze nie zdecydowano. A martwienie się na zapas to strata energii.

- Ale okazało się - kontynuowała - że nie jestem stworzona do próżnowania.

- Więc znalazłaś się we właściwym miejscu - zadeklarowała Lucy. - Lada chwila spodziewamy się ofiar wypadku na autostradzie.

- Chyba już są - zauważyła Gina, słysząc podjeżdżającą pod drzwi karetkę.

To cudowne uczucie być gdzieś, gdzie jest się potrzebnym.

Jednak jej dobre samopoczucie rozwiało się kilka dni później, gdy Ruark wezwał ją do gabinetu.

- Tobie pierwszej chciałem przekazać dobre wieści. Administracja przychyliła się do mojej prośby o dodatkowe etaty dla izby przyjęć.

Popatrzyła na niego zmieszana.

- Ale przecież nie potrzebujemy więcej lekarzy.

- Pracujesz zazwyczaj ponad siedemdziesiąt pięć godzin tygodniowo.

Nawet dyrektor stwierdził, że to się musi zmienić.

- A mogę w ogóle pracować?

Sprawiał wrażenie zaskoczonego tym pytaniem.

- Ależ oczywiście. Po prostu w harmonogramie dostaniesz bardziej akceptowalną liczbę godzin. Możesz wybierać pomiędzy trzema dwunastogodzinnymi lub czterema dziesięciogodzinnymi dyżurami.

Powinna być zadowolona, nawet szczęśliwa, lecz wcale tak nie było. Chętnie zostawała po godzinach, bo to dawało jej poczucie celu. Teraz, bez ostrzeżenia, Ruark jej to odebrał. Była zła i sfrustrowana.

- Kiedy zmiany wejdą w życie?

- Od poniedziałku. Dopóki nie zatrudnimy dodatkowych dwóch osób, będziemy pracować systemem zastępstw. Którą opcję wybierasz?

Nawet nie dał jej czasu na oswojenie się z tą myślą. Po prostu strzelał palcami i wszyscy mają robić to, co każe książkę.

- A mam w ogóle jakiś wybór? - Tym razem spojrzała mu w oczy, pewna, że zdołała ukryć wzburzenie. - Czy też już zdecydowałeś za mnie?

Jego twarz była nieodgadniona.

- Mógłbym to zrobić, ale wolałbym nie.

Gina potarła skronie, czując, że traci kontrolę nad jedyną częścią życia, którą jeszcze mogła kontrolować.

- To dla dobra oddziału, Gino. Zapowiadałem, że wprowadzę zmiany. To, że tyle czasu spędzasz na dyżurach, nie jest dobre ani dla szpitala, ani dla pacjentów.

Nie miała pojęcia, co wybrać. Przy trzech dniach pracy w tygodniu zanudzi się, siedząc w domu. Z drugiej strony, mogłaby wtedy podjąć pracę gdzie indziej. W państwowej przychodni na rogu zawsze są wakaty.

- Przypominam ci, że twój kontrakt nie zezwala na dorabianie - dodał Ruark, jakby czytał w jej myślach.

- Ale mogę leczyć charytatywnie.

- Oczywiście, i jeśli będziesz chciała, nie będę cię powstrzymywał.

- Naprawdę?

- Ale jeśli wolisz pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, niż spędzać czas ze mną w domu, oznacza to, że robię coś nie tak.

Oczywiście, sięga po argument z mężem, pomyślała, czując się jak ostatnia niewdzięcznica.

Była świadoma tego, że reaguje przesadnie, ale dotychczas praca była dla niej wszystkim. Nie miała jej czym zastąpić. Nie miała już nic swojego.

- Wezmę cztery dziesięciogodzinne dyżury - powiedziała sztywno.

- Gino, to nie jest...

- Czy to wszystko? Czekają na mnie pacjenci.

Zrozumiał, że wycofała się za linię definiującą ich stosunki na poziomie przełożony-podwładny.

Zawahał się na chwilę, zanim skinął głową.

Obserwował, jak Gina wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Nie tego spodziewał się po ich rozmowie. Był przekonany, że będzie zachwycona perspektywą większej ilości wolnego czasu, a zareagowała tak, jakby z zimną krwią odebrał jej najcenniejsze, co posiada.

Nagle ją zrozumiał. Ale choć żałował, że nie przygotował jej wcześniej na taką ewentualność, musiał podejmować decyzje zgodne z interesem oddziału. Gina zrozumie, że nie był to atak personalny. I z czasem się przekona, że więcej na tym zyskała, niż straciła.

- Musisz natychmiast iść zbadać tę kobietę. - Lucy wręczyła Ginie kartę.

- Co się dzieje?

- Przewlekłe krwawienie z pochwy. Widziałam zwłoki, które miały w sobie więcej krwi.

- Wzywałaś Stellę? - Stella Fairchild była rezydentką na oddziale ginekologiczno-położniczym.

- Jeszcze nie.

- Zrób to. A ja idę do pacjentki.

- Aha, to samotna matka. Troje dzieci siedzi w poczekalni.

Gina weszła do sali i zobaczyła Doreen Roy, leżącą na łóżku i bladą jak prześcieradło.

- Witam, jestem doktor Sutton. Na czym polega pani problem?

- Moje okresy są coraz dłuższe - odparła Doreen.

- W ostatnich miesiącach miałam je prawie bez przerwy. Chciałam iść do lekarza, ale po prostu brakowało mi czasu.

Raczej pieniędzy, pomyślała Gina. Widziała mnóstwo takich przypadków.

Doreen zaczerpnęła powietrza.

- Zauważyłam też, że często kołacze mi serce i mam trudności z oddychaniem, ale myślałam, że to przejdzie. Dziś rano zemdlałam, robiąc śniadanie dla dzieci. Tim, mój syn, nalegał, żebym się do was zgłosiła.

- Rozumiem. Ile lat ma Tim? - zapytała Gina.

- Trzynaście. Molly ma siedem, a Cara pięć.

- Jakież inne objawy, o których pani nie wspomniała?

- Chyba nie. Zawsze mi zimno i mam kłopoty z koncentracją. Czy to ważne?

- Możliwe. Zaczekamy na ginekologa, a tymczasem zlecę serię badań.

Potem zastanowimy się, co dalej.

- Jak długo to potrwa?

- Co najmniej godzinę, może dwie.

- Nie lubię zostawiać dzieci samych. Na pewno się martwią.

- Po badaniu będą mogły tu wejść. Czy jest ktoś, kto mógłby się nimi zająć, gdybyśmy musieli przyjąć panią na oddział?

- Sąsiadka, jeśli ją poproszę. - Doreen zamknęła oczy.

Gina znalazła Lucy w korytarzu.

- Potrzebna mi będzie pełna morfologia, badanie krzepliwości, oznaczenie grupy krwi i przeciwciał. I zawiadam radiologię, że będziemy robić USG.

- Jasne.

- Idę sprawdzić, co z dziećmi pani Roy.

Troje ciemnowłosych dzieci chowało się w rogu poczekalni. Najmłodsze siedziało na kolanach brata, z kciukiem w ustach, i przysłuchiwało się czytanej przez niego bajce.

- Tim Roy? - zapytała Gina.

- Tak, proszę pani.

- Jestem lekarzem twojej mamy.

- Jak ona się czuje? Wyzdrowieje? - Strach przemknął po jego twarzy, dodając mu lat.

- Zleciłam kilka badań i gdy tylko otrzymamy wyniki, dowiemy się, co jej dolega. - Zlustrowała dzieci wzrokiem. Wszystkie były ubrane skromnie, lecz schludnie. - Teraz jest u niej inny lekarz, ale kiedy skończy, możecie do niej pójść. Chcielibyście?

Dziewczynki skinęły głową. Młodsza znów zaczęła ssać kciuk.

- Ale to chwilę potrwa. Może w międzyczasie coś zjecie lub weźmiecie sobie coś do picia? - Była prawie jedenasta i dzieci na pewno były głodne.

- Nic nam nie trzeba.

- Gdybyście zmienili zdanie, tam w rogu jest automat.

Stella zbadała pacjentkę, a wyniki badań zawęziły opcje leczenia.

- Z tak niską hemoglobina muszę ją zabrać na chirurgię. Wykrwawia się na naszych oczach.

- Tak myślałam. Zamówiłam krzyżówkę dla czterech jednostek. Kiedy chcesz operować?

- Po trzeciej, na razie nie ma wolnej sali.

- Powiedziałaś jej już?

- Wspomniałam, że istnieje taka możliwość.

- Ma troje dzieci. Nie wie, co z nimi zrobić.

- Nie możemy czekać.

- Wspomniała coś o sąsiadce. Poproszę pracownika socjalnego, aby to załatwił.

- Tylko szybko. Nie mogę operować, dopóki dzieci nie będą miały zapewnionej opieki.

- Jasne.



Gina dokonała odpowiednich ustaleń i ruszyła do poczekalni, aby powiadomić dzieci. Po kilku krokach wpadła na mężczyznę, którego od rana unikała.

- Możesz się wymknąć na lunch?

Instynktownie napięła mięśnie, ale potem zdecydowała, że traktowanie Ruarka jak wroga nie jest dobrym rozwiązaniem. Przecież on tylko wykonuje swoje obowiązki.

- Jeszcze nie. Najpierw muszę zobaczyć się z dziećmi pani Roy.

- Ile to potrwa?

- Chwilę. Nie będę ich badać. Ich mama ma za kilka godzin operację i myślałam, że może chciałyby czekać z nią, w jej pokoju. To samotna matka i nie bardzo ma je z kim zostawić.

- Współczuję, ale co będzie z nimi potem?

- Pracuję nad tym.

Miejsce, w którym dzieci siedziały, było puste.

- Ciekawe, dokąd poszły? - zastanawiała się Gina, gdy od strony automatu z przekąskami dobiegł ich żaloszny głosik.

Mała Cara przyciskała palec do szyby i wpatrywała się tęsknie w napój.

- Możemy to wziąć, Timmy? Chce mi się pić.

- Mam tylko dolara. Musisz wybrać coś, czym będziesz mogła podzielić się z Molly.

Gina automatycznie odwróciła się do Ruarka.

- Zabieram ich na lunch.

- Tak myślałem.

- Nadal chcesz się przyłączyć?

- A czemu miałbym zmienić zdanie?

- To dzieci. Bałaganią i są męczące.

Uśmiechnął się ironicznie.

- Myślę, że jakoś sobie poradzę.

Gina podeszła do Royów, którzy właśnie roztrząsali zalety chipsów i cukierków.

- Cześć.

Tim przerzucił siostrzyczkę na biodro.

- Jak mama?

- Wyzdrowieje. Ale jest kilka spraw, o których chciałabym z wami porozmawiać. Może pójdziemy gdzieś, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzać? Aha, to jest doktor Ruark Thomas,

Ruark uściśnął dłoń Tima i uśmiechnął się do dziewczynki, a następnie zaprowadził wszystkich do wolnej sali.

- Wasza mama jest bardzo chora - powiedziała Gina. - Musimy ją operować. Jeszcze dzisiaj.

- A po operacji się jej polepszy?

- Powinno.

Tim spojrzał jej w oczy, potem przeniósł wzrok na Ruarka. Sprawiał wrażenie starszego, niż wskazywał na to jego wiek.

- Czy ona ma raka?

- Nie będziemy pewni, dopóki nie dostaniemy wyników badań. Ale nie martwmy się na zapas, dobrze?

- Czy mama umrze? - zapytała Molly.

- Czasami ludzie, którzy przychodzą do szpitala, umierają - wyjaśniała ostrożnie Gina - ale często nie. Przychodzą, żebyśmy mogli im pomóc wyzdrowieć, tak jak twojej mamie. - Gina wstała. - Powinniśmy teraz coś zjeść.

Buzie Molly i Cary rozjaśniły się. Tim zmarszczył brwi.

- Nie jesteśmy głodni.

Był zbyt dumny, aby przyznać się do tego, że w kieszeni ma tylko dolara.

- Ale możecie dotrzymać nam towarzystwa. A gdybyście jednak zmienili zdanie, ja stawiam. Po lunchu wasza mama będzie już mogła przyjmować gości i was do niej zaprowadzę. Ale jeśli wolicie czekać tutaj...

Molly pociągnęła Tima za kieszeń, aby zwrócić na siebie jego uwagę. Cicha prośba, którą skierowała do brata, była jasna. Przygryzł wargę.

- Pójdziemy z wami - wymamrotał.

Ruark nie miał dotychczas okazji obserwować Giny w otoczeniu dzieci, ale spodziewał się, że dobrze sobie z nimi radzi. I miał rację. Była miła, ale stanowcza, nie pozwalała na psoty.

- Pójdę z dziewczynkami coś zamówić - powiedziała do niego.

Cara poprosiła o hot doga, zieloną fasolkę, pudding czekoladowy i miseczkę oliwek. Molly zamówiła makaron z serem, galaretkę i paluszki rybne, a Tim pieczeń wołową.

Gina zdecydowała się na kanapkę z tuńczykiem, jabłko, mleko czekoladowe i ciastko.

- A co dla ciebie, Ruark? Ja stawiam. Uśmiechnął się.

- Poproszę kanapkę z kurczakiem.

W końcu usiedli przy stole. Dzieci jadły z takim apetytem, jakby od wieków nie miały nic w ustach. Chyba rzadko miewały taki wybór.

- I jak jedzenie? - zapytał Ruark.

- Pyszniutki - odpowiedziała Cara, wtykając oliwki na palce i zjadając je po kolei.

Ruark przysłuchiwał się, jak Gina rozmawia z ich małymi gośćmi. Po trzydziestu minutach wiedziała, do jakich szkół chodzą, w której są klasie,

jakie są ich ulubione przedmioty, jak spędzają wakacje, i że Tim od trzech tygodni rozwozi gazety.

Wypytała Carę o jej misia, a Molly o lalkę. Zdołała wyciągnąć od Tima informację, że jego rower ma przebitą dętkę, a przy okazji dowiedziała się wiele o ich rodzinie.

Ta kobieta marnuje się jako lekarz, pomyślał Ruark. Powinna pracować w wywiadzie. Ludzie wyjawiają jej swoje sekrety, nawet o tym nie wiedząc.

Pod koniec lunchu dziewczynki jaśniały szczęściem, a Tim... Cóż, wpatrywał się w Ginę jak każdy nastolatek, któremu atrakcyjna starsza kobieta poświęca uwagę. Jego wzrok podążał za każdym jej ruchem, a gdy zadawała mu pytanie, rumienił się uroczo, a potem z trudem odpowiadał.

Kolejni członkowie fanklubu Giny, pomyślał Ruark. Ale czy może ich winić? On też za każdym razem, gdy ją widział, czuł się szczęśliwy i zdumiony, że jest jego żoną.

Z łatwością wyobraził sobie, jak siedzą przy stole w jadalni otoczeni swoimi dziećmi, kroją mięso, ratują napoje przed rozlaniem się i opowiadają sobie, jak im minął dzień.

Jest niezwykła i choć nikomu by się do tego nie przyznał, będzie dozgonnie wdzięczny za skandal, który wywołał pamiętnik ciotki Margret. To doprowadziło go do Giny. Wypełnienie obowiązku nigdy wcześniej nie dało mu tyle satysfakcji.

- Co teraz? - zapytał Ginę, gdy Tim odniósł brudne naczynia.

- Kupimy jakieś przekąski na później i pójdziemy do ich mamy. Może być? - zwróciła się do Tima.

- Dzięki - odparł - ale nie potrzebujemy przekąsek. Prawda, dziewczynki? Zaczekamy do kolacji.

Cara zmarszczyła brwi, Molly przestała się uśmiechać, ale obie karnie przytaknęły.

- Jeśli nie zgłodniejecie, będziecie mogli przechować je do jutra - rzekła Gina, nie reagując na jego odmowę.

- Ale pani już tak dużo wydała...

- Tak robią przyjaciele. Precelki i lukrecja nie zrujnują mnie. Kiedyś, gdy dorośniesz i osiągniesz sukces, zrobisz to samo dla kogoś innego.

- Ale...

- Załatwione - oznajmiła Gina. - Chcę to zrobić i już. Ruark poklepał Tima po ramieniu.

- Lepiej się poddać, niż kłócić z kobietą, zwłaszcza tą. Ona nie odpuści.

- Ja się nie kłócę - zdenerwowała się Gina. Ruark mrugnął do Tima.

- Widzisz?

Usta chłopca rozciągnęły się w uśmiechu.

- W porządku, ale tylko dla dziewczynek.

Gdy Gina zabrała dzieci do matki, Ruark wrócił do gabinetu. Nie taki zaplanował dzisiaj lunch, uznał jednak, że nie zmarnował czasu. Dowiedział się, jak wiele Gina potrafi dać z siebie innym, jest w tym taka podobna do jego sióstr i matki. Tyle że one wypełniały w ten sposób swoje obowiązki, a jego żona czyniła tak instynktownie, z głębi serca.

Poczuł nagle coś nieokreślonego. Gdyby był piętnaście lat młodszy i mniej obeznany z kobiecymi sztuczkami, nazwałby to miłością, ale nie był już tak łatwowierny jak kiedyś. Przestał wierzyć, że zdoła doświadczyć tego uczucia.

Czuł po prostu czyste, kompletne zadowolenie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Nie idę dzisiaj z tobą do domu, Ruark - oświadczyła Gina po zakończonym dyżurze.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Słucham? Nie wracasz do domu?

- Nie powiedziałam, że nie wracam do domu. Stwierdziłam, że nie idę z tobą teraz. Pracownik socjalny, który miał odstawić dzieci pani Roy do sąsiadki, musiał się zająć pilniejszym przypadkiem, więc ja to zrobię. Wezmę swój samochód, a Hugh i Joachim pojedą z tobą.

- Może po prostu pojedziemy za tobą?

- O nie! Nie zamierzam ciągnąć za sobą całej świty. Sama potrafię znaleźć drogę. Radziłam sobie bez ochroniarzy całe życie.

- Ale twoje życie się zmieniło. Nie możesz się narażać.

- Tak, ale...

- Ja będę prowadził. Odwieziemy dzieci. Nawet nie zauważysz Hugh i Joachima.

- Nie wiedziałam, że bycie księżniczką jest równoznaczne z uwięzieniem.

- Bo nie jest. A nie przyszło ci kiedyś do głowy, że w Avelonii i Marestonii mogą być ludzie niezadowoleni z tego, że się pobraliśmy? Tacy, którzy nie chcą pokoju i starają się zniweczyć to, co osiągnęliśmy? Ktoś może chcieć na ciebie napaść.

Jej gniew i irytacja zniknęły.

- Nie pomyślałam o tym.

- Nie chcę cię straszyć. Próbuje tylko wytłumaczyć ci, dlaczego tak się upieram przy stosowaniu podstawowych środków ostrożności.

- Powinieneś być wyjaśnić mi to wcześniej. Byłoby mi łatwiej zaakceptować ochronę.

- Obawiam się, że nie przywykłem do tłumaczenia się.

- Więc przywyknij.

Uśmiechnął się.

- Postaram się. A tymczasem proszę, abyś była ostrożna. I nie narażała się bez potrzeby.

- Spróbuję - obiecała niechętnie.

- Świetnie. Idź po dzieci, a ja powiadomię Hugh i Joachima o zmianie planów. Masz adres?

Podawała mu kartkę, mając nadzieję, że Ruark nie zna dzielnicy, w której mieszkają dzieci, i nie słyszał o jej kiepskiej reputacji.

- Zaraz wracam - powiedziała.

Odebrała dzieci od matki i zaprowadziła je na parking, gdzie czekał Ruark.

- Wszyscy gotowi? - zapytał, otwierając drzwi i pomagając Carze wsiąść.

- Ja tak - zaświergotała dziewczynka. - Musiałam być strasznie cicho, żeby mamusia mogła spać.

Gina obserwowała, jak Ruark sadowi dzieci w fotelikach, które pożyczył z pediatrii, i gdy tylko Tim usiadł pomiędzy nimi, ruszyli.

- Zatrzymujemy się na kolację? - zapytał Ruark cicho.

- Sąsiadka, pani Klimus, coś dla nich przygotowała. Skręć w prawo.

Zauważyła, że rysy twarzy Ruarka stwardniały, gdy wjeżdżali w ubogie uliczki. Często spoglądał w lusterko, aby sprawdzić, czy ochroniarze są wystarczająco blisko.

Po kilkuset metrach usłyszeli Molly.

- To nasza ulica!

Ruark skreślił i zatrzymał się przy bladuróżowym bliźniaku.

- Dojechaliśmy - oznajmił radośnie, rzucając przy tym Ginie oskarżycielskie spojrzenie.

W mgnieniu oka dzieci wysiadły z auta i pobiegły nierównym chodnikiem do domu. Drzwi otworzyła im uśmiechnięta pani Klimus.

- Moje biedactwa. Nie martwcie się, mamusia wyzdrowieje. - Popatrzyła na Ginę, szukając u niej potwierdzenia.

- Na pewno - rzekła Gina, ciesząc się, że kobieta przyjęła Royów z otwartymi ramionami.

- A o nich proszę się nie martwić. Są dla mnie jak wnuki.

- Cieszę się, że pani tak mówi.

- Przykro mi, ale musimy już iść - wtrącił Ruark.

- Ależ oczywiście. Bardzo miło było was poznać - powiedziała pani Klimus, odprowadzając ich do drzwi. - Musicie koniecznie jeszcze mnie odwiedzić.

Na zewnątrz Ruark ujął Ginę pod ramię.

- Ruark, proszę - zaprotestowała. - Jeszcze mogę chodzić bez niczyjej pomocy.

- Wiem, że możesz, ale trzymaj się blisko mnie.

Zauważyła, że twarz Ruarka jest napięta.

- Co się stało?

- Po prostu rób, co mówię.

Rozejrzała się i zauważyła przy jego samochodzie dwoje młodych ludzi, mężczyznę i kobietę. On obserwował samochód, a dziewczyna siedziała, opierając się o przednią oponę, jakby nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

Chłopak odezwał się pierwszy.



- Fajna bryka - rzekł nonszalancko, krzyżując wytatuowane ramiona na chudziutkiej klatce piersiowej.

- Fajna - powtórzyła dziewczyna rozmarzonym głosem.

- Dziękuję - odparł uprzejmie Ruark, stając pomiędzy nieznanym a Giną. - Właśnie mieliśmy odjeżdżać.

- Nie da rady, stary. Taka fura pewnie sporo kosztuje. Może odpalisz nam kilka papierów?

- Przykro mi, nie noszę przy sobie gotówki.

- Chłopie, karta też może być. W sumie to nawet lepiej.

Dziewczyna nagle jęknęła, chwyciła się kurczowo za brzuch i osunęła bezwładnie na chodnik.

- Tony, kiepsko się czuję.

- Zaraz poczujesz się lepiej, skarbie.

Gina od razu rozpoznała objawy przedawkowania.

- Twoja przyjaciółka musi natychmiast jechać do szpitala. Wezwę karetkę. - Sięgnęła do kieszeni po komórkę, a chłopak w odpowiedzi na jej ruch wyciągnął spod kurtki długi ostry nóż.

- Nie ma mowy. Żadnych karetek, konowarów i glin. Dawaj portfel i spadamy.

Ruark uniósł ręce.

- Dobra. Nie denerwuj się, jest twój. - Zanim zdołał wykonać jakiś ruch, za rogiem pojawił się samochód Giny. Nadjeżdżały posiłki.

Na ten widok chłopak schował nóż, chwycił dziewczynę i zniknął pomiędzy domami.

Hugh i Joachim już do nich podbiegali.

- Coś się stało, Wasza Wysokość?

- Na szczęście nie. Gina, jedziemy.

- Nie możemy, ta dziewczyna potrzebuje pomocy.
- Nie znajdziemy ich teraz.
- My może nie, ale policja tak. Nie możemy tak po prostu odjechać.

Musimy coś zrobić.

- Sama słyszałaś, nie chcieli pomocy.
- Muszę spróbować.

Ruark polecił Hugh wezwać policję.

- To bez sensu - zwrócił się jeszcze raz do żony.
- Może tak, może nie.

Patrol nadjechał w ciągu kilku minut.

- Przykro mi, pani doktor, ale nic nie możemy zrobić - powiedział do Giny oficer w średnim wieku. - Możemy szukać, ale na pewno już się gdzieś zaszyli. Popytamy, ale wątpię, aby to coś dało.

- Dziękuję.

Ruark podziękował policjantowi, chwycił ją za łokieć i nakazał wsiąść do samochodu. Pograżona w myślach i rozczarowana porażką, nie zauważyła, że Hugh siadł za kierownicą, a zdenerwowany Ruark obok niej.

- To nie moja wina - zauważyła.

- No wiesz! Pojechałaś w miejsce, które jest niebezpieczne. Obiecałaś, że będziesz ostrożna.

- A skąd miałam wiedzieć, że nas zaczepią? A poza tym nie byłam sama. Byłeś ze mną ty, a Hugh i Joachim w pobliżu.

- To jest bez znaczenia - kontynuował, jakby jej nie słysząc. - Muszę wiedzieć, że można ci zaufać. A gdybyś była sama?

- Oddałabym im torebkę - powiedziała. - I kluczyki, gdyby chcieli samochód. - Ale z zachowania Ruarka wyczytała, że on w ogóle jej nie słucha.

- I jeszcze wyciągnął nóż! - Podniósł głos. - Pewnie zaczęłabyś badać tę dziewczynę. Bóg jeden wie, w co byś się wpakowała!

W końcu dojechali do domu.

- Skończyłeś?

- Na razie. - Odpiął pas, wysiadł z samochodu i otworzył jej drzwi.

Minęła go bez słowa. Ruszył za nią, a gdy skierowała się do jadalni, skręcił do gabinetu. Kilka sekund później trzasnęły drzwi.

Zaskoczona hukiem Gina wpadła na Hugh.

- Przepraszam, Wasza Wysokość.

- Moja wina, nie patrzyłam, jak idę.

Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na nią ze zrozumieniem.

- Książkę zazwyczaj nie daje się ponieść nerwom.

- Widać wyzwalam w nim najgorsze instynkty.

- Bardzo się bał o panią. Inaczej nie zareagowałby tak ostro.

- Twoja lojalność jest godna pochwały, Hugh. Ale to, co się stało, było czystym przypadkiem, a ja nie pozwolę sobie na to, aby mnie obwiniano i besztano jak dziecko.

- Uspokoi się i na pewno to zrozumie, Wasza Wysokość.

Gina rzuciła ochroniarzowi powątpiewające spojrzenie i weszła do kuchni. Potrzebowała ukojenia po dniu pełnym niemiłych niespodzianek, a duża porcja lodów czekoladowych doskonale się do tego nadawała.

- Lody? - krzyknął Henri z przerażeniem, widząc, jak Gina otwiera zamrażarkę. - Wasza Wysokość musi najpierw zjeść coś konkretnego. Może sałatka z szynką i serem?

- Nie rób sobie kłopotu. Wezmę tylko lody.

- To żaden kłopot. - Henri prawie wyrwał jej karton z rąk. - Żaden.

Proszę wygodnie usiąść, a ja za kilka minut wszystko podam.

I znów porażka! To jest najgorszy dzień jej życia. Obcięto jej godziny o prawie jedną trzecią, jej dobre chęci obróciły się przeciwko niej, młoda kobieta, której chciała pomóc, zniknęła, a Ruark nawrzeszczał na nią za coś, na co nie miała wpływu, a teraz nawet nie może zjeść tego, na co ma ochotę!

Chciała pobyć choć przez chwilę sama, pomyśleć, ale nie chciała tego robić tutaj, w miejscu, gdzie czuła się jak gość i gdzie nie mogła zrobić nic, aby pozbyć się frustracji.

Pojedzie do domu. Tam może zjeść cały karton lodów i nikt nie zacznie jej pouczać. Będzie prać, odkurzać i kosić, dopóki nie stanie się zbyt zmęczona, by myśleć. I zyska wystarczająco dużo przestrzeni, aby nabrać sił, zanim znowu stawi czoła temu dyktatorowi.

Wszechogarniająca chęć ucieczki pozbawiła ją resztek apetytu. Nie będzie przecież tracić czasu na jedzenie.

- Dziękuję ci, Henri - powiedziała, odnosząc tacę do kuchni - ale nie jestem głodna. Mógłbyś to schować na później?

- Oczywiście, Wasza Wysokość.

- Mam jeszcze coś do załatwienia - skłamała gładko. - Zaraz wracam.

- Mam wezwać Hugh lub Joachima?

- To nie jest konieczne. - Zdołała się do niego uśmiechnąć. - Sama któregoś znajdę.

- Dobrze, Wasza Wysokość.

Samochód stał jeszcze na podjeździe, dzięki czemu łatwiej było jej się wymknąć. Powoli opuściła hamulec i wjechała na ulicę, wdzięczna losowi za to, że jej samochód ma taki cichy silnik. Pół godziny później wjechała do swojego garażu i opuściła drzwi zwykłym naciśnięciem guzika.

Była w domu.

W znajomym otoczeniu, w którym dotkliwie odczuła nieobecność Ruarka.

To idiotyzm! Wcale jej go nie brakuje. Jest wściekła na niego za brak zaufania, ostre słowa i władcze nastawienie. Nie chce pamiętać o tym, jaki był miły dla dzieci pani Roy w czasie lunchu, jak bardzo martwił się o jej bezpieczeństwo, jak stanął pomiędzy nią a napastnikiem, by ją chronić.

Nie zrobiła nic, co usprawiedliwiłoby jego gniew. Ruark nie szanuje jej uczuć i rani ją swoją obcesowością. Ale pewnie nie zrobiłoby to na niej wrażenia, gdyby nie to, że go kocha.

O Boże! Kocha go.

Zrozumiała nagle, dlaczego Ruark pragnął małżeństwa opartego na przyjaźni. Miłość czyni człowieka podatnym na zranienie, zwłaszcza jeśli jest to miłość nieodwzajemniona. I co ma teraz począć?

Emocje wirowały w niej jak szalone, powodując ból. Zanim zdołała wyjść z garażu, wybuchnęła płaczem.

Ruark wyszedł z gabinetu kilka godzin później, zdecydowany przeprosić żonę za utratę panowania. Powinien był zaufać instynktowi, nakazać Hugh jazdę tuż za nimi i nie wysiadać, dopóki ochroniarze nie zatrzymają się przed drzwiami domu. Był zły na samego siebie, a wyładował się na żonie.

Przeszukał wszystkie pokoje, a gdy jej nie znalazł, wyszedł do ogrodu, przekonany, że Gina ogląda zachód słońca. Po chwili wrócił do domu, gdzie natknął się na Hugh.

- Widziałeś Ginę?

- Od naszego powrotu nie, proszę pana.

- Ciekawe, gdzie się podziewa.

- O, wróciłeś, Hugh - powiedział Henri, wchodząc do holu. - Czy pani będzie teraz jeść?

- Wróciłeś? - Hugh zmarszczył brwi. - Nigdzie nie wychodziłem.

Z twarzy Henriego zniknął uśmiech.

- Ale... Księżniczka powiedziała, że ma coś do załatwienia. Chciałem po ciebie zadzwonić, ale stwierdziła, że sama cię znajdzie. Pewnie pojechała z Joachimem.

- Joachim nigdzie nie wychodził. - Hugh wymienił spojrzenia z Ruarkiem i wybiegł.

- Nie rozumiem.

- Nie ma jej samochodu - oznajmił Hugh po powrocie.

- Znajdźcie ją.

Kilka minut później wszyscy zgromadzili się w biurze Hugh i Joachima, które służyło za bazę operacyjną ochrony. Ruark studiował obrazy z kamer, żałując, że dotychczas nie zainstalował żadnej na podjeździe.

- Nie wierzę, że odeszła - wyszeptał, ale w głębi ducha nie był tym zdziwiony.

- Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość - powiedział ostrożnie Hugh - ale był pan dla niej dosyć surowy.

- Dzięki za stwierdzenie oczywistości. Pytanie brzmi, dokąd poszła. Henri?

Kucharz wzruszył ramionami.

- Wspomniała tylko, że ma coś do załatwienia. Nie odważyłem się zapytać co.

W końcu na jednym z zapisów z kamer zobaczyli Ginę wsiadającą do samochodu. Na szczęście bez walizki.

- Zadzwoncie do Belmont - polecił Ruark. - Może odwiedza panią Roy na chirurgii.

- Nie sądzę. - Hugh uruchomił kolejny program. - Współrzędne GPS nie wskazują na otoczenie szpitala. W ciągu kilku minut określe dokładnie, gdzie jest. Na szczęście pozwoliliśmy sobie zainstalować w samochodzie odbiornik przy okazji instalacji systemu alarmowego w mieszkaniu.

- I co? - Ruark popędzał go niecierpliwie.

Na ekranie ukazała się mapa.

- Księżniczka przebywa w swoim mieszkaniu.

Ruark odetchnął z ulgą.

Nieznany hałas wyrwał Ginę z głębokiego snu. Nici z powrotu do rezydencji Ruarka, zanim ktoś zauważy, że wymknęła się ochronie, pomyślała zmęczona. Zanim dojedzie na miejsce, on już będzie gotowy, aby wygłosić kolejny, pełen zjadliwości wykład.

- Obudziłaś się - usłyszała jego głos.

Natychmiast się podniosła.

- Ruark! Jak się tu dostałeś? Zamknęłam drzwi na klucz - powiedziała, ścierając z twarzy ślady łez. - Wiem to na pewno, nie możesz więc oskarżać mnie, że jestem nieostrożna.

- Zamknęłaś. A zamek nie był problemem. - Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy. - Dlaczego uciekałaś?

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Jeszcze pytasz?

- Chcę usłyszeć to od ciebie.

- Musiałam - wyznała sztywno. A potem, zdecydowana nie dopuścić do konfrontacji w sypialni, przeszła do salonu. - Jeśli masz zamiar znowu wrzeszczeć, proszę bardzo. Miejmy to za sobą.

- Nie będę krzyczeć.

Zaskoczył ją, a gdy na niego spojrzała, zauważyła, że chłód, który widziała wcześniej, zniknął. Ruark wydawał się... skruszony.

- To po co przyjechałeś?

- Chciałem sprawdzić, czy nic ci nie jest. Martwiłem się. Już drugi raz dzisiaj.

- Jak widzisz, nic mi nie jest. - Spojrzała na zegar. - Nie miałam zamiaru siedzieć tu tak długo, ale zasnęłam. Możemy wracać.

Potrząsnął głową i usiadł na kanapie.

- Nie, dopóki nie wyjaśnisz mi, dlaczego uciekłaś. Jeśli potrzebowałaś prywatności, to w rezydencji jest mnóstwo pokoi, które możesz wykorzystać. Nie musiałaś po to jechać przez całe miasto.

Wtedy coś w niej pękło i postanowiła w końcu wszystko z siebie wyrzucić.

- To ty potrzebowałaś prywatności, Ruark, a mnie trzeba czegoś więcej. Uciekłam, bo chciałam znaleźć się gdzieś, gdzie mogę pomyśleć i być sobą. Gdzie życie jest normalne. Bo w twoim domu nie jest. Może dla ciebie tak, ale dla mnie nie. Wszyscy traktują mnie jak gościa. A ty... - Nagle poczuła dławienie w gardle. - Dziś potraktowałeś mnie jak bezużyteczną, pozbawioną mózgu lalkę, jak głupie naiwne dziecko. Tu jestem sobą, Giną Sutton. Osobą dorosłą, która po sobie sprząta, gotuje, je lody, kiedy ma na to ochotę, decyduje o sobie i jest za siebie odpowiedzialna. I nikt na mnie tu nie wrzeszczy. U ciebie nie wiem, kim jestem, przysparzam tylko pracy i zmartwień wam wszystkim. A zwłaszcza tobie.

Wysłuchał jej w milczeniu.

- Co mogę zrobić, abyś poczuła się lepiej?



- O nie - zaprotestowała, potrząsając głową. - Nawet się nie waży być teraz szarmancki, miły i wyrozumiały, skoro zaledwie kilka godzin temu... - Słowa uwięzły jej w gardle.

Zamrugła gwałtownie powiekami, ale wypłakała już chyba wszystkie łzy, które się w niej zgromadziły.

- Kilka godzin temu zachowałem się fatalnie - oznajmił bez ogródek Ruark. - Byłem zły na siebie, a wyładowałem się na tobie.

Zaskoczył ją przyznaniem się do winy.

- Zły na siebie? Za co? Nie byłeś odpowiedzialny za to, co się stało. Nie bardziej niż ja.

- Nie posłuchałem przeczucia i w rezultacie cię zraniłem. To niewybaczalne, że naraziłem na niebezpieczeństwo kobietę, którą przysięgałem chronić. Zawiodłem cię.

Cały jej gniew wyparował. Usiadła obok niego i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Nie możesz wszystkiego przewidzieć i chronić mnie przed wszystkim. To miłe, że próbujesz, ale nie możesz się obwiniać za każdym razem, gdy coś się stanie. To nie jest dobre dla żadnego z nas.

- Wolę być zbyt ostrożny, niż niedostatecznie ostrożny.

- Musi istnieć jakiś złoty środek i w końcu go znajdziemy. Ale do tego czasu nie możesz zamknąć mnie w klatce.

- Tylko obiecaj, że nie będziesz już tak znikać.

- Miałam unikać obcych i nieznanymi miejsc - zauważyła. - Ta reguła nie dotyczy mojego mieszkania.

Uniósł brwi.

- Następnym razem powiadomię kogoś, gdzie jadę - obiecała niechętnie, świadoma tego, że to ograniczenie jeszcze nieraz ją zirytuje. - A gdy już się

dowiedziałeś, gdzie jestem, naprawdę musiałeś tu przyjechać? Myślałeś, że sama nie wrócę do domu?

- Jesteś moją żoną - odparł, jakby to wystarczyło za całe tłumaczenie. - Byłem pewien, że jesteś bezpieczna i wiedziałem, że wrócisz, kiedy już nie będziesz na mnie zła, ale miałem nadzieję, że zdołam namówić cię do wcześniejszego powrotu.

- Hm... - Udawała, że rozważa tę opcję, bawiąc się jednocześnie guzikami jego koszuli. - Jeśli naprawdę chcesz mnie namawiać, zabierze nam to trochę czasu. - Rozpięła pierwszy guzik. - Ale jeśli chcesz już jechać...

Unieruchomił jej rękę, zerwał się z kanapy i pociągnął ją za sobą.

- Pojedziemy później - oznajmił, prowadząc Ginę do sypialni. - Dużo później.

## ***ROZDZIAŁ DZIESIĄTY***

Gina nerwowo bawiła się bransoletką, stojąc na progu sali balowej i obserwując zgromadzony w niej tłum. Nie знаła osobiście żadnego z gości, mimo iż rozpoznawała niektóre twarze, te, które pojawiały się regularnie w prasie i telewizji. Mimo swojego dziedzictwa była przecież tylko lekarzem w borykającym się z kłopotami szpitalu w ubogiej dzielnicy.

Jednak gdy spojrzała na towarzyszącego jej mężczyznę, niewiarygodnie przystojnego, zrozumiała, że się myli. Nie jest tylko lekarzem. Jest żoną księcia Marestonii, księżniczką i hrabiną. Może jest to jej pierwszy wytworny bal charytatywny w życiu, ale pasuje do tego miejsca tak samo jak inni zgromadzeni.

Ruark ujął jej dłoń i splótł jej palce ze swoimi.

- Jesteś niespokojna - wyszeptał, pochylając się do jej ucha.
- Wybacz. Nic na to nie poradzę.
- Spróbuj.
- Ale wszyscy się na mnie gapią.
- Zawsze się gapią, kiedy piękna, pewna siebie kobieta wchodzi do sali.

Przejrzała się w lustrze tuż przed wyjściem z domu, nie mogła więc nie przyznać, że wygląda fantastycznie. Fryzjer sprawił cuda, profesjonalista nałożył jej makijaż, a specjalnie dobrana na tę okazję biała suknia lśniła w świetle żyrandoli. Zgodnie z obietnicą Ruark pomógł jej dobrać dodatki - pojedynczy sznur pereł i kolczyki. Natomiast co do pewności siebie, to gdyby nie wspierające ją ramię męża, na pewno już dawno potknęłaby się w butach na niewiarygodnie wysokich obcasach.

- Wszystko jest imponujące - napomknęła, lustrując wzrokiem salę ozdobioną świeżymi kwiatami, rzeźbami z lodu i fontannami tryskającymi szampanem. - Eleganckie i pełne szyku.

- To fakt.

- Mam nadzieję, że centrum pomocy rodzinie zbierze dzisiaj mnóstwo pieniędzy. Za każdym razem, kiedy maltretowana żona przyjeżdża do nas na ostry dyżur, mam ochotę dorwać odpowiedzialnego za to faceta i wbić mu gdzieś naprawdę dużą igłę.

- Nie wiedziałem, że ożeniłem się z Walkirią - uśmiechnął się Ruark. - Jest tu kilka osób, z którymi musimy się przywitać. Zaczynamy?

- Prowadź.

Najpierw podeszli do marestońskiego ambasadora. Dystyngowany siwowłosa mężczyzna uklonił się głęboko.

- Wasza Wysokość, ogromnie się cieszę z naszego spotkania.

Gina się zaczerwieniła.

- Dziękuję, ekscelencjo.

Ambasador zerknął na Ruarka i puścił do niego oko.

- Teraz rozumiem, skąd te plotki o porywającym romansie. Rodzina królewska i ojczyzna są z pana dumne, książę.

- Dziękuję.

- Musicie koniecznie odwiedzić Marestonię w czasie podróży poślubnej.

Wszyscy pragną was poznać i poczują się urażeni zwłoką.

- Postaramy się przyjechać, gdy tylko będzie to możliwe.

Ambasador odszedł wyraźnie zadowolony z odpowiedzi.

- Nie wiedziałam, że mamy ambasadę Marestonii w pobliżu - powiedziała Gina. - I że sam ambasador pofatyguje się na bal.

- Kilku organizatorów ma związki z Marestonią i Avelonią. A gdy wyszło na jaw, że przyjdziemy, lista gości wydłużyła się o praktycznie wszystkich naszych rodaków przebywających teraz w Stanach. To bardzo pomoże w zbiorce funduszy. I to wszystko zawdzięczamy tobie, kochanie. Dodam jeszcze, że zauroczyłaś ambasadora.

- Naprawdę? Skąd wiesz?

- Mężczyźni wiedzą takie rzeczy. Zatańczymy?

- Myślałam, że nigdy o to nie zapytasz. Tylko nie próbuj niczego bardziej wymyślnego niż walc.

- Jeden walc w takim razie. Już się robi.

Przez następne kilka godzin czuli się jak w bajce. Zespół muzyczny był rewelacyjny, jedzenie rozplýwało się w ustach, a wszyscy odnosili się do Giny z sympatią.

Tańczyła z Ruarkiem i jego rodakami. Poznała senatorów i członków rządu, prezesów największych amerykańskich firm i kilku innych ambasadorów, w tym ambasadora Avelonii.

- Książę - powiedział, podchodząc i kłaniając się przed Giną - gratuluje odnalezienia skarbu księcia Arthura.

- Dziękuję.

- Pozwolę sobie jeszcze raz przekazać serdeczne zaproszenie Królowej Matki i króla Henrika do odwiedzenia Avelonii. Rodzina królewska i obywatele mojego kraju będą zachwyceni, mogąc uhonorować księżniczkę Ginę i jej męża.

- Rozpatrzymy zaproszenie, gdy tylko będzie to możliwe - odrzekła Gina.

Ambasador odszedł, a do młodej pary dołączył stary przyjaciel Ruarka. Po oficjalnej prezentacji Gina odeszła na bok, aby wypić trochę ponczu.

Z oddali obserwowała męża, który śmiał się i żartował z Jasonem. Zastanawiała się, czy tęskni za rodziną, przyjaciółmi i krajem, w którym się wychował.

A czy jej babcia tęskniła za jej ojcem, gdy ten zdecydował się na emigrację do Ameryki? Czy potraktowała jego decyzję jak odrzucenie i się obraziła? Po raz pierwszy w życiu poczuła ból na myśl o tym, co utraciła jej babcia w wyniku intrygi sprzed lat.

Może już czas na wyciągnięcie ręki do rodziny ojca? Może nie jest za późno...

Ale zanim naprawi tę sytuację, musi załatwić jeszcze jedną, o wiele poważniejszą sprawę. Musi znaleźć sposób na wyznanie Ruarkowi, że go kocha. Miała nadzieję, że troska i uwaga, którą jej ostatnio okazywał, dowodzą tego, że jego cyniczny pogląd na miłość się zmienił i że Ruark odwzajemnia jej uczucie.

Jason poklepał Ruarka po ramieniu.

- Zawsze miałeś dobry gust, jeżeli chodzi o kobiety, ale tym razem przeszedłeś samego siebie. Twoja żona to skarb, a ty jesteś cholernym szczęściarzem.

Ruark uśmiechnął się, zachwycony akceptacją szkolnego przyjaciela.

- To fakt.

- Jak się poznaliście i jak się wam udało utrzymać to wszystko w tajemnicy?

- Spotkaliśmy się na konferencji w Kalifornii kilka miesięcy temu. A reszta jest historią.

- Tak, tworzycie historię. Słyszałem, że to problemy Marestonii i Avelonii pchnęły was do ołtarza, ale widząc was razem, nawet ślepy i głupi stwierdziłby, że w tej plotce nie ma ani żdźbła prawdy.

- Naprawdę?

- Jasne. - Jason uśmiechnął się. - Od razu zauważyłem. Wpatrujesz się w swoją żonę tak, jakbyś nie mógł oderwać od niej oczu. Widać, że ją kochasz.

Kocha? Niemożliwe. Zależy mu na niej, szanuje ją, ale to wszystko. Szkoda, że nie może powiedzieć tego Jasonowi. A to, że wygląda na zakochanego, oznacza po prostu, że dobrze odgrywa swoją rolę.

- Muszę przyznać, że po tym, co przeszedłeś z tą aktorką, myślałem, że nie zdecydujesz się na poważny związek.

- Też tak sądziłem - zgodził się Ruark. I tak by było, gdyby nie obowiązek wobec kraju.

Kątem oka zauważył Ginę. Wyglądała bajecznie i oczarowała wszystkich. Była zjawiskowo piękna, w prostej białej sukni, z błyszczącymi radością zielonymi oczami. I jest jego żoną. Uśmiechnął się.

Jason sięgnął po butelkę importowanego piwa.

- Zostałbym i pogadał, ale widzę uroczego rudzielca, najwyraźniej pozbawionego towarzystwa. Przekaż pozdrowienia żonie. A gdybyście szukali w najbliższym czasie ojca chrzestnego, jestem do dyspozycji. - Mrugnął do Ruarka i zniknął dosłownie na chwilę przed powrotem Giny.

- Dokąd poszedł Jason? - zapytała, podchodząc.

- Polować. Na rudzielca.

- Aha.

- Czy Kopciuszek chce już opuścić swój pierwszy bal, czy też może woli zostać nieco dłużej?

- Minęła północ. Jeśli nie będzie to jakieś potworne naruszenie etykiety, wolałabym już iść.

- To chodźmy. - On również chciał, aby ten wieczór dobiegł końca.

Dzielenie się Giną z tyloma ludźmi zaczynało go irytować.

- Wstawaj, śpiochu.

Gina jęknęła, słysząc głos Ruarka. Był zdecydowanie zbyt radosny jak na dziewiątą rano. Przeciągnęła się, nie otwierając oczu.

- Po co ten pośpiech? Przecież jest sobota.

- Właśnie. Tyle mamy do zrobienia.

Nagle na jej twarzy wylądowały szorty i koszulka.

- Co jest?

Otworzyła oczy. Ruark stał nad nią w sfatygowanych džinsach i rozciągniętym bawełnianym T-shircie.

- No chodź. Tracimy czas. Wszyscy czekają. Nie możemy zacząć, dopóki nie wstaniesz. Masz pięć minut, potem pójdziesz ze mną w pizamie.

Słyszając jego groźbę, wyskoczyła z łóżka.

- Co się dzieje?

- Przeprowadzka.

- Przeprowadzamy się?

- Nie tak, jak myślisz.

Zaprowadził ją do pokoju gier. W środku Hugh, Joachim i Henri demontowali stół do bilardu.

- Przenosisz stół? - zapytała, zastanawiając się, czemu musi być przy tym obecna.

- Pamiętasz, jak mówiłaś, że nie masz tu swojego miejsca? Od dziś będziesz je miała. To będzie pokój tylko dla ciebie. Możesz urządzić go, jak ci się spodoba.

Gina popatrzyła na łukowe sklepienie, ogromne okno wychodzące na ogród i piękną dębową podłogę.

- Jest mój?

- Tak. Wyniesiemy wszystko, a potem umeblujemy meblami z twojego mieszkania albo kupimy nowe.

- Ale przecież to twój pokój gier.

- Nie wyrzekamy się go zupełnie. Przenosimy się nad garaż.

- Ruark, nie wiem, co powiedzieć. To takie miłe.

- Miłe czy nie, mamy napięty grafik. - Uśmiechnął się jak mały chłopiec.

- Musimy do dwudziestej oddać samochód.

- Może będzie łatwiej, jeśli ja zajmę pokój nad garażem?

- Nie ma mowy. Jest za daleko od domu, a poza tym to niestosowne, aby małżonka księcia przyjmowała gości nad garażem. To jest twój pokój.

Gina pomyślała o wszystkich wytwornych kobietach, z którymi zaprzyjaźniła się na balu, i zrozumiała, co jej mąż ma na myśli.

- Masz rację. W takim razie zatrzymam witrynę i stolik do kawy. Resztę możecie wynieść.

- Słyszeliście, panowie? Zabieramy wszystko na górę.



Przy akompaniamencie jęków i narzekań czterej mężczyźni zgodnie przenieśli większość wyposażenia nad garaż. Najtrudniej poszło ze stołem bilardowym. Kiedy jeden z rogów wysliznął się Ruarkowi z rąk, niemal miażdżąc mu kości stopy, Ginie serce zamarło.

- To nie był dobry pomysł. Powinniśmy byli wynająć profesjonalną ekipę.

- Nie wygłupiaj się - oburzył się Ruark. - To jak siłownia. Damy sobie radę.

Nie wiedziała, czy się popisuje, czy też jest zbyt uparty, aby przyznać się do porażki, ale w końcu pokój został opróżniony.

- Nie wiem, jak wam dziękować. - Gina obdarzyła uściskiem każdego pomocnika. - Jesteście kochani.

- Cieszymy się, że mogliśmy chociaż tyle dla pani zrobić - powiedział Henri, zanim on i ochroniarze zniknęli, zostawiając ją sam na sam z Ruarkiem.

- Nie musieli tak szybko uciekać.

- Pewnie bali się, że znów poprosisz o drobne przemeblowanie.

- Trochę ich wymęczyłam, to fakt.

- I swojego biednego męża też.

- Masz rację. - Objęła go za szyję. - Będę musiała ci to jakoś wynagrodzić. Może pomoczysz się trochę w jacuzzi? Ja przygotuję przekąski.

- Świetny pomysł - powiedział, wyciskając szybkiego całusa na jej ustach.

- Jak woda? - zapytała Gina, stawiając tacę z serem i owocami na parapecie.

- Cudowna. Może się przyłączysz?

- Później. Najpierw się zrelaksuj.

- Co tam masz dobrego?

- Owoce. - Wzięła z talerza kawałek ananasa i włożyła mu do ust. -  
Twoje ulubione. Leż i wypoczywaj.

- Mógłbym do tego przywyknąć - zauważył, biorąc od niej winogrono.  
Rozkoszowali się jedzeniem i rozmawiali o wszystkim i o niczym, aż Gina  
poczuła, że nadszedł moment, na który czekała. Teraz powinna podzielić się z  
mężem swoimi uczuciami.

- Ostatnie winogrono.

Chwycił ją za rękę.

- Ale ja nadal jestem spragniony.

- Zobaczę, czy Henri...

- Nie jedzenia - powiedział, podciągając jej bluzkę do góry. - Ciebie.

Uśmiechnęła się.

- Ale ja jestem tu, a ty tam.

- To nieistotny szczegół. Przyłącz się.

- Nie zmieścimy się.

- Na pewno się zmieścimy. Wierz mi.

Nie wahała się. Zrzuciła ubrania i weszła do ciepłej wody. Ułożył ją  
przed sobą, a ona oparła się o jego tors, rozkoszując się dotykiem. Namydlał jej  
skórę, a jego usta wędrowały po jej karku. Pieścił, głaskał i drażnił każdy nerw,  
aż poczuła, że woda drży od napięcia, które się pomiędzy nimi wytworzyło.

Nagle podniósł się z westchnieniem, owinał ich oboje ręcznikiem i  
zaniósł ją do łóżka.

Pragnęła go tak mocno, że z ulgą przyjęła jego słodki ciężar. Ból w jej  
trzewiach domagał się złagodzenia, zanurzyła więc palce w jego włosach i  
wyszeptała:

- Ruark, proszę.

- Proszę?

- Proszę, pośpiesz się.

Wypełnił ją całą jednym ruchem, a potem wyznaczył dziki rytm, porywając ją za sobą i unosząc oboje do gwiazd.

Gdy odzyskała zdolność myślenia, ułożyła policzek na jego piersi i wsłuchiwała się w miarowe bicie serca. Rozproszone myśli zebrały się w jedno zdanie, które wyrażało wszystko.

- Kocham cię - wyznała.

Uścisnął ją mocniej.

- Mówiłem ci, że będzie nam dobrze.

Usłyszała w jego głosie dumę i satysfakcję.

- Jesteś pewny siebie, co?

- Jasne.

- A skąd wiedziałeś?

- Szósty zmysł. Intuicja. Przeczucie.

- Czy twój szósty zmysł podpowiada ci coś jeszcze?

- A powinien?

- Minęło trochę czasu i pomyślałam, że może nasz związek to coś więcej niż „jest nam razem dobrze”?

- Czego oczekujesz? Mam powiedzieć, że cię kocham?

- Tylko jeśli naprawdę to czujesz. Podniósł się i usiadł na brzegu łóżka.

- Rozmawialiśmy przecież o tym. Małżeństwo mieliśmy budować na wzajemnym szacunku i wspólnych zainteresowaniach, nie mglistych pojęciach.

- Wiem, na co się umawialiśmy, ale moje uczucia się zmieniły.

- Właśnie. Uczucia się zmieniają. Teraz mówisz, że mnie kochasz, ale nikt nie wie, co poczujesz jutro.

Owinęła się prześcieradłem, czując się niekomfortowo, jakby obnażała przed nim nie tylko ciało, ale i duszę.

- Moje uczucia nie zmieniły się tak po prostu. One są coraz silniejsze. I jutro będą takie same.

Odwrócił się do niej z miną wyrażającą niedowierzanie.

- A jeśli przestanę spełniać twoje zachcianki? Dawać ci to, o co poprosisz? Co wtedy?

- To właśnie dziś zrobiłeś, Ruark? Spełniłeś moją zachciankę? Czego ty właściwie chcesz? Szczęśliwego małżeństwa czy iluzji, że nasze takie jest?

- Nie chcę iluzji. Dla mnie nasze małżeństwo jest szczęśliwe. A przed chwilą udowodniliśmy jak bardzo.

- Szczęście to też uczucie. A miłość jest od niego silniejsza, bo się rozwija. Poznałam cię lepiej i zakochałam się. I miałam nadzieję, że czujesz to samo.

- Naprawdę mi na tobie zależy - zapewnił ją żarliwie. - Dlaczego to ci nie wystarcza?

- Bo nie. Dzięki miłości każdy dzień jest lepszy, problemy łatwiej jest rozwiązać, a życie jest przyjemniejsze. Bez niej nie żyjesz naprawdę, tylko udajesz.

- Miłość to tylko słowo.

- Kiedyś kochałeś kobietę...

- Byłem w błędzie.

Zignorowała jego słowa.

- A ona mówiła ci to, co chciałeś usłyszeć. Ja nie jestem tą kobietą. Nie zostawię cię. Złożyłam obietnicę, której dotrzymam. Nasze małżeństwo może być udane lub nie. Wybór należy do ciebie.

Wyszła z pokoju i zamknęła się w łazience. Chciała się wypłakać, ale zacisnęła zęby i stłumiła szloch.

Nie kocha jej. Może troska, którą Ruark jej okazuje, ma osłodzić mu wykonywanie obowiązków. Pasują do siebie, ale nie chciała być nagrodą pocieszenia, którą otrzymuje posłuszny mały książę za zasługi dla Korony.

Przez chwilę czuła się uwięziona w małżeństwie bez miłości, ale przypomniała sobie wszystko, co Ruark zrobił, aby ułatwić jej przejście do nowego życia, i zrozumiała, że dla niego ten związek to coś więcej niż przyjaźń. Po prostu nie umie przyznać, że to, co do niej czuje, to miłość.

Biorąc pod uwagę jego doświadczenia z kobietami, które udawały, że im na nim zależy ze względu na jego pochodzenie, powinna się cieszyć, że Ruark w ogóle coś do niej czuje. Mógłby przecież trzymać się na uboczu i zamienić ich małżeństwo w związek dwojga samotnych ludzi.

A on po prostu boi się jej zaufać i pozwolić sobie na miłość. Znają się przecież dopiero od kilku tygodni. Dowiedzie mu, że jej deklaracja to nie rezultat działania hormonów czy chęć odwdzięczenia się za jego hojność, ale szczerą prawdą, że kocha człowieka, a nie tytuł.

Potrzeba cierpliwości, aby rozbić mur, który Ruark wokół siebie wznosił. Ukrywał się za nim całe lata, nie można więc oczekiwać, że ona zdoła go zburzyć za pierwszym podejściem. Ale odziedziczyła po ojcu upór i tak łatwo się nie zniechęcała.

Udowodni mu, że to miłość, a nie przyjaźń czy wspólne zainteresowania, czyni małżeństwo szczęśliwym. Nauczy go, że miłość to siła, nie słabość i podatność na zranienia.

I lepiej nie myśleć o tym, co będzie, jeśli jej się nie powiedzie.

Ruark przerzucał czyste ubrania, zirytowany tym, jak łatwo popołudnie przeobraziło się z uroczej sielanki w czysty horror. Gina od początku wiedziała, że nie chciał i nie oczekiwał miłości, i oto nagle, bo on zrobił kilka miłych rzeczy, zmieniła reguły gry.

Nie zamierzał jej na to pozwolić. Ustalili przecież zasady. Zaufanie, przyjaźń, szacunek, pociąg fizyczny. Nie zamierzał angażować się w to wszystko emocjonalnie i ona też nie powinna była tego robić.

Oczywiście, zależało mu na niej bardziej niż na jakiegokolwiek innej kobiecie, z którą był związany. I to powinno jej wystarczyć. Dlaczego więc pragnęła słów, których często używano przypadkowo lub z wyrachowania? Miłość rani i daje fałszywą nadzieję.

On zawsze był zdania, że czyny przemawiają głośniejszą i bardziej uczciwie niż słowa. Gina powinna to zaakceptować i tym się zadowolić.

## ***ROZDZIAŁ JEDENASTY***

- Widziałaś ostatni numer magazynu „People”? - zapytała Ginę Lucy tydzień później.

Gina westchnęła. Odkąd w gazetach ukazały się zdjęcia z balu charytatywnego, personel izby przyjęć robił wszystko, by zdobyć najmniejszą choćby wzmiankę o swojej ulubionej parze. Na początku było to urocze, ale z czasem stało się irytujące, zwłaszcza że jej wielki plan przekonania męża do miłości chyba się nie powiedzie.

Robiła, co mogła, aby zachowywać się wobec Ruarka jak zwykle, z jednym wyjątkiem. Teraz za każdym razem, gdy tylko mogła, powtarzała mu, że go kocha. Niestety, dotychczas ani razu nie zareagował zgodnie z jej oczekiwaniami.

Internetowi eksperci twierdzili, że mężczyzna, który nie potrafi wyznać miłości, ma problemy z podejmowaniem zobowiązań. Jako że ich małżeństwo

było ogromnym zobowiązaniem, Gina odrzuciła tę teorię zaraz po tym, jak się z nią zapoznała. Po prostu oczekiwała zbyt wiele, i zbyt szybko.

Gdyby tylko nie był taki cholernie słodki przez ten ostatni tydzień! Przysyłał jej kwiaty, przyrządzał przy pomocy Henriego jej ulubione smakołyki. Ich noce były niezapomniane.

Po raz pierwszy w życiu prawie żałowała, że specjalizowała się w medycynie ratunkowej, a nie w psychologii.

- Halo? Jesteś tutaj?

Gina skoncentrowała się na Lucy.

- Przepraszam. Nie zwracaj na mnie uwagi. Myślami byłam gdzie indziej.

- Chcesz wiedzieć, co o was piszą w „Domu i ogrodzie”?

- Nie.

- Szkoda. Tekst jest całkiem pochlebny. - Zamknęła pismo i odłożyła na stertę innych.

- Naprawdę nie mam pojęcia, po co wy to zbieracie - napomknęła Gina, marząc o tym, aby stosik zniknął i świadoma tego, że wywołałaby zbiorowy protest, gdyby się do tego przyczyniła. - Przecież codziennie nas widujecie. Nie potrzebujecie zdjęć.

- To dla potomności. Nie znamy osobiście nikogo sławnego. Osładcie nam naszą ubogą egzystencję.

- Jasne. Mamy już wyniki pacjenta z czwórki? Tego z bólami w klatce?

- Jeszcze nie, przed sekundą sprawdzałam. Ale założę się, że to niestrawność.

- Wstrzymaj się. Nasz pacjent może cię jeszcze zaskoczyć. Jest coś jeszcze?

- Nic ciekawego. Byłabym zapomniała, doktor Thomas cię wzywał. Masz się do niego zgłosić przed jego spotkaniem z doktorem Lansingiem.

- Już idę. I daj mi znać, jak tylko przyjdą te wyniki.
- Jasne. Gina?
- Tak?
- Jesteś jakaś roztargniona. Czy wszystko u ciebie w porządku?
- Oczywiście. Czemu pytasz?
- Jesteś jakaś inna, spięta. Dobrze się czujesz?
- Naprawdę nic mi nie jest.

Gina weszła do gabinetu Ruarka. Jego biurko było zasłane papierami, ale on rozparł się na krześle i czytał jakiś magazyn. Jęknęła sfrustrowana.

- I ty też? Uśmiechnął się zmieszany.

- Nie mogłem się oprzeć. Piszą, że po naszym ślubie ilość odnotowanych w Marestonii i Avelonii aktów wandalizmu spadła, a nastroje w obu krajach znacznie się poprawiły.

Tego jej było trzeba - przypomnienia, dlaczego się pobrali.

- Cieszę się. Wezwałeś mnie tylko po to, aby mi to powiedzieć?
- Nie. - Przyglądał się jej przez chwilę. - Dobrze się czujesz?

Zirytowana, że słyszy to pytanie już po raz drugi tego dnia, zazgrzytała zębami.

- Doskonale. Dzięki za troskę.
- Nie chciałbym cię zatrzymywać, wiem, że jesteś zajęta, ale dzwonił mój ojciec. Moja rodzina naciska na oficjalną ceremonię.
- Naprawdę musimy to robić? Wybuchnie powstanie, jeśli odmówimy?
- Pewnie nie, ale ojciec martwi się, że ponieważ już tak długo mieszkam w Stanach, ludzie pomyślą, że odrzucam swoje dziedzictwo, nie przestrzegając rodzinnych tradycji.
- Rozumiem. Co to oznacza w praktyce?



- Ewentualna ceremonia na pewno nie będzie tak rozbudowana jak ślub mojego brata - zapewnił ją. - Ale przejazd główną ulicą do katedry św. Grzegorza, oficjalna msza, pozdrowienie publiczności z balkonu pałacu i skromne przyjęcie dla rodziny i przyjaciół to obowiązkowe punkty programu.

- I co mu odpowiedziałeś?

- Że omówię to z tobą.

Wystarczająco trudno było jej raz poślubić człowieka, który jej nie kochał, i miałyby teraz to powtórzyć? I to w kościele? Nie ma mowy. Nawet jej poświęcenie ma swoje granice.

- Wyznaczono jakiś termin?

- Ślub miałyby się odbyć w ciągu miesiąca. Co mam odpowiedzieć?

- Byłabym dumna, mogąc poślubić cię jeszcze raz, w twojej ojczyźnie, bo cię kocham - powiedziała spokojnie.

- Powiem ojcu, aby wyznaczył datę.

- Ale tego nie zrobię.

Zmarszczył brwi.

- Nie zrobisz czego?

- Tego. Nie będzie żadnej oficjalnej ceremonii.

- Nie rozumiem.

Uśmiechnęła się blado.

- Byłabym szczęśliwa, mogąc poślubić mężczyznę, którego kocham, w wybranym przez niego miejscu i czasie, ale nie zamierzam po raz drugi wychodzić za kogoś, kto mnie nie kocha. Odwiedzę Marestonię, będę ścisnąć dłonie i całować dzieci. Mogę nawet dodać do planu podróży Avelonię, aby zobaczyć się z babką, ale nie będę słuchać, jak przysięgasz mi miłość i oddanie, wiedząc, że nie mówisz szczerze i recytujesz tylko oklepane słowa. Jak śmiesz w ogóle prosić mnie o coś takiego?

Wyprostowała się.

- Powiedz ojcu, co ci się podoba. Powiedz, że mam ataki klaustrofobii w kościele, że jestem uczulona na kwiaty, że koronki wyzwalają we mnie najgorsze instynkty. Nie interesuje mnie, jakiej wymówki użyjesz, ale nie będę przysięgać w kościele komuś, kto mnie nie kocha. Zostało mi jeszcze trochę dumy i szacunku do samej siebie.

Drżąc z oburzenia, Gina wybiegła z pokoju i wróciła do pracy.

Oniemiały Ruark patrzył na opuszczającą pokój Ginę. Obowiązek obowiązkim, ale był pewien jej zgody, bo wyznała przecież wcześniej, że go kocha. Myślał o planowanej ceremonii jak o kolejnym wydarzeniu, w którym trzeba uczestniczyć, następnym zobowiązaniu do wypełnienia, ale najwyraźniej Gina widziała w niej symboliczny religijny akt połączenia się dwojga osób.

On w ogóle nie myślał o przysiędze. Skupił się na tym, jak będzie dumny, stojąc obok kobiety, która wypełniła jego życie miłością i wniosła do niego tyle radości.

Przyjął te dary, nie wierząc swemu szczęściu, i zranił ją swoją bezmyślnością i egoizmem. A wolałby przecież uciąć sobie rękę, niż przysporzyć jej bólu. Kochał ją tak mocno. Oszołomiony tym odkryciem, powtarzał te słowa raz po raz: kocha ją.

Zawsze wierzył, że nie wie, czym jest miłość i jak ją rozpoznać. I miał rację - to, co czuł do Grace, było tylko cieniem uczuć, które wzbudzała w nim Gina. Miłość to coś więcej niż przyjaźń i zgodność upodobań. Miłość to pasja fizyczna i duchowa. Pragnienie, aby spędzać każdą chwilę dnia z ukochaną, być przy niej na dobre i złe i cieszyć się każdym wspólnym doświadczeniem.

Jeśli to właśnie czuła Gina, rozumiał, dlaczego powtarzała mu to przy każdej nadarzającej się okazji. W jej ustach nie był to wyświechtany frazes, ale

wyznanie płynące z głębi serca. Jaki był głupi, że nie rozpoznał różnicy i pozwolił, aby zaślepił go cynizm. Zranił ją, a jeśli Gina nie zdoła mu wybaczyć, będzie musiał to zrozumieć.

Nagle pojawił się, co musi zrobić - wynagrodzi jej to. Poprosi Henriego o przygotowanie romantycznej kolacji przy świecach. Chociaż nie, nie będzie czekał do wieczora. Powie jej wszystko teraz.

Poderwał się z miejsca, ale usiadł, bo przypomniał sobie o zebraniu komisji budżetowej. Nie może go odwołać bez podania naprawdę poważnej przyczyny. A konieczność odbycia prywatnej rozmowy z żoną chyba nie będzie za taką poczytana.

Po raz kolejny w jego życiu obowiązek wygrywał z życiem prywatnym.

To tylko godzina, pocieszał się. Potem wyjaśni wszystko miłości swojego życia.

- Pani doktor, naprawdę mnie boli. Musi pani coś zrobić. -

Czterdziestopięcioletni kierowca ciężarówki pochylił się do przodu, ściskając brzuch.

Gina zdążyła już przeprowadzić badanie i nie znalazła niczego podejrzanego. Wątroba nie była powiększona, pacjent nie miał gorączki ani żółtaczkę, żadnych objawów jelitowych ani skurczy, tylko nadwrażliwość na dotyk w prawym górnym kwadrancie. Nie miała pojęcia, skąd się bierze ból.

- Zlecę badanie krwi - poinformowała. - Sprawdzimy, jak funkcjonują nerki i trzustka. Wyniki pozwolą nam wyeliminować niektóre możliwe przyczyny pana dolegliwości.

Sama pobrała próbkę i zaniósł ją do dyżurki.

- Potrzebne mi elektrolity, amylaza, pełna morfologia, poziom glukozy, kreatynina i próby wątrobowe - powiedziała do Lucy. - Pobierz, proszę, również próbkę moczu i dowiedz się, co z EKG.

- Już się robi. - Lucy chwyciła za słuchawkę, a Gina wróciła do pacjenta.

- Wyniki będą za godzinę. W międzyczasie pobierzemy jeszcze próbkę moczu i prześwietlimy brzuch. A potem chwilę pan odpocznie.

Kończyła mówić, gdy nagle rozległ się huk, a potem sufit i ściany zaczęły walić się jej na głowę. Instynktownie próbowała osłonić ją ramionami, ale było za późno. Coś uderzyło ją w skroń i ogarnęła ją ciemność.

Ruark niecierpliwie stukał końcówką pióra w kopię planu budżetowego. Dyskusja się przeciągała. Zrozumiał, że będzie miał szczęście, jeśli zdoła się wyrwać przed południem.

Do pokoju weszła sekretarka Lansinga i Ruark z trudem stłumił jęk. Kobieta przerwała im już dwa razy i najwyraźniej zamierzała to zrobić znów. Podała doktorowi Lansingowi notatkę. Ten zmarszczył czoło.

- Kiedy to się stało?

- Mniej więcej dziesięć minut temu. Linie telefoniczne w izbie przyjęć nie działają. Dopiero się dowiedzieliśmy.

Ruark usłyszał nazwę swego oddziału i wstał zaniepokojony.

- Coś nie tak?

- Lepiej biegnij na dół - odparł Lansing ponuro. - Ktoś właśnie wbił się samochodem w izbę przyjęć.

Gina.

Ruark pobiegł do wyjścia.

- Są ranni? - zapytał w biegu.

- Nie wiemy. Chyba wciąż próbują się wszystkich doliczyć. Zaraz podeślę wam cały wolny personel...

Ruark nie czekał, aż jego szef skończy mówić. Minał windę i zbiegł na dół po schodach, docierając na oddział w rekordowym czasie.

Scena, którą zastał, przypominała miejsce klęski żywiołowej. W powietrzu wisiała chmura gęstego pyłu, a na końcu korytarza stał pokryty gruzem, rozbity samochód terenowy, za którym nie było już ściany, tylko parking dla gości.

Personel miotał się jak w ukropie. Budynek został uszkodzony w znacznym stopniu, wszędzie wałały się odłamki drewna, stali i cegieł. Największemu zniszczeniu uległy dwie sale, przez które samochód dosłownie przejechał. Ludzie byli wstrząśnięci, pokryci pyłem, wielu przyciskało do krwawiących twarzy i kończyn opatrunki, ale Ruarkowi wydało się na pierwszy rzut oka, że nie ma ofiar, a większość urazów jest powierzchowna.

- Gdzie jest doktor Sutton? - zapytał przechodzącą obok pielęgniarkę.
- Nie widziałam jej.

Niezniszczone sale były pełne personelu i pacjentów, ale nigdzie nie znalazł Giny. Nikt nie pamiętał, kiedy i gdzie widziano ją po raz ostatni. Szukał jej z zacięłą determinacją, w nadziei, że może wyszła na radiologię albo do kawiarni, ale instynkt podpowiadał mu, że jest w izbie przyjęć.

Znalazł Lucy przy największej kupie gruzów, z jeszcze jedną pielęgniarką, Hugh i Joachimem. Pracowali zgodnie, usuwając kawałki sufitu i ścian.

- Gdzie jest Gina?

Twarz Lucy była blada jak kreda. Jej oczy rozszerzyły się z niepokoju, gdy wskazała na stertę odłamków.

- Pod tym. Nie możemy doliczyć się tylko jej i jej pacjenta.

Przeszył go lęk, jakiego nie doświadczył nigdy wcześniej, ale zdołał się opanować. Musi być spokojny, bo w przeciwnym razie nie zdoła jej pomóc, gdy w końcu ją odnajdzie.

- Przynieś zestaw ratunkowy i kołnierz ortopedyczny - nakazał pielęgniarsce. Gdy wykonała polecenie, zajął jej miejsce pomiędzy swoimi ludźmi.

- Wasza Wysokość - odezwał się Hugh - powinien pan się odsunąć i pozwolić nam się tym zająć.

- Nie ma mowy, zostaję.

Słyszając determinację w jego głosie, Hugh przytaknął i wrócił do pracy, jakby wiedział, że Ruark nie posłucha.

- To było zdumiewające - rzekła Lucy. Jej głos drżał. - Nie wiedzieliśmy, co w nas uderzyło, dopóki nie zobaczyliśmy samochodu.

- Ktoś sprawdził, co z kierowcą?

Joachim nie zamierzał na próżno marnować oddechu, który wolał spożytkować na podnoszenie kolejnych warstw tynku.

- Trup.

- Podejrzewamy, że miał zawał i zmarł, zanim wbił się w budynek.

- Widzę rękę - oznajmił Hugh.

Ruark wstrzymał oddech, bojąc się tego, co właśnie znaleźli, i tego, że to nie była Gina. Chciał przedrzeć się przez drewno i cegły, aby jej dosięgnąć, ale tymczasem byli skazani na grę w bierki. Tylko powolne i metodyczne uprzątnięcie pobojowiska może uchronić je przed całkowitym zawaleniem.

Kilka minut później zdołali odkopać Ginę i jej pacjenta, pogrzebanych pod regałami, które się na nich przewróciły.

- Gina? - zawołał Ruark, gdy podnosili pacjenta, który leżał przed nią. Nie odpowiadała.

Gdy tylko ułożyli poszkodowanego na noszach i przetransportowali w bezpieczniejsze miejsce, Ruark klęknął przy żonie.

Jej jęk był jak muzyka dla jego uszu. Wołał ją raz po raz, przebiegając jednocześnie dłońmi po jej głowie i klatce piersiowej, podczas gdy inni pracowali nadal, aby uwolnić jej nogi. Guz na czole, rozcięcie na linii włosów, skaleczenia i sińce na ramionach, ale żadnych złamanych kości. Na razie.

- Wszystko... mnie boli - wyszeptała.

- Wiem, kochanie. Zaraz cię stąd wyciągniemy.

Po dziesięciu minutach była wolna. Unieruchomiono jej kręgosłup, ułożono ją na noszach i przeniesiono do sali zlokalizowanej najdalej od miejsca katastrofy.

- Rentgen, badanie krwi, i wezwijcie chirurga. Natychmiast - polecił Ruark, gdy Lucy zaczęła rozcinać bluzkę Giny.

Pielęgniarki podłączyły kroplówkę i zaczęły przemywać skaleczenia.

Ruark pochylił się nad żoną.

- Trzymaj się - nakazał jej.

- Trzymam... się. Muszę...

- Nic ci nie będzie - obiecał, modląc się, by jego słowa się sprawdziły, ponieważ alternatywa byłaby dla niego nie do zniesienia.

Jej usta wykrzywiły się, gdy spróbowała się uśmiechnąć.

- Nie będę... taka jak... tamte. Nie... zostawię cię.

- Ani mi się waż. Kocham cię.

Jej powieki zatrzepotały i opadły. Ruark próbował określić, jak poważne uszkodzenia kryją się pod wielkim ciemniejącym sińcem na jej biodrach oraz brzuchu, i bał się tylko jednego.

Nie zdążyła usłyszeć jego wyznania.

Po kilku dniach Gina obudziła się i poczuła, że naprawdę odzyskała świadomość. Czuła się zmęczona i obolała, ale była przytomna.

Rozpoznała otoczenie, znajomą szpitalną izolatkę i Ruarka drzemiącego na stojącym obok łóżka krześle. Podrapała swędzący nos, a Ruark poderwał się i stanął przy niej. Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, uwidaczniając zmarszczki w kącikach oczu.

- Dzień dobry, śpiochu.

Zdobyła się na uśmiech.

- Nie czuję, aby był jakoś szczególnie dobry.

- Odzyskałaś przytomność i jesteś stabilna. Moim zdaniem ten dzień jest nawet lepszy niż dobry. Przez kilka dni utrzymywaliśmy cię w stanie śpiączki.

- Nie wiedziałam. Nic dziwnego, że wszystko mam takie zeszywniałe.

Muszę usiąść. - Rozejrzała się w poszukiwaniu pilota, aby móc unieść zagłówek, ale ją wyręczył.

Ułożyła się w nowej pozycji, wyciągnęła rękę i pogłaskała pokryty szczecina policzek.

- Nie ogoliłeś się - zauważyła machinalnie.

Chwycił jej dłoń i przycisnął do swojej piersi.

- Noc spędziłem tutaj i nie zdążyłem jeszcze pójść się przebrać. Nie chciałem zostawiać cię samej.

- Było tak źle?

Roześmiał się.

- Nie. Po prostu nie chciałem sam jechać do domu.

- Ale dlaczego? Przecież całkiem nieźle płacimy naszym pielęgniarcom za opiekę nad pacjentami.

- Prawda, ale po prostu nie spodobała mi się wizja pozostawienia cię tutaj samej sobie. Gdyby nagle doszło do komplikacji, musiałbym pędzić do ciebie przez pół miasta.

- Mówiłeś, że nie było tak źle.



- Nieważne. Istniało przecież ryzyko, że twój stan się pogorszy. Moi rodzice chcieli przylecieć, gdy tylko dowiedzieli się o wypadku, twoja babcia także, ale wytłumaczyłem im, że to nie ma sensu. Chciałem być z tobą. Chciałem być pierwszą osobą, którą zobaczysz, gdy się ockniesz.

Nie wiedziała, jak odpowiedzieć, wzruszona jego wyznaniem, przeciągnęła się więc, zmuszając do pracy obolałe mięśnie, i zmieniła temat.

- Wtajemniczysz mnie w diagnozę, czy mam zgadywać?

- Masz mocno stłuczoną wątrobę i nerki, ale ładnie się goją. Baliśmy się, że będziemy musieli usunąć ci śledzionę, ale doktor Ahmadi zdecydował, że zaczekamy, bo poziom czerwonych krwinek może się sam ustabilizuje. Na razie jest nieźle. - Uśmiechnął się. - Masz na ciele całą kolekcję zadrapań i siniaków, niewielki wstrząs mózgu, ale mogło być dużo gorzej.

- A mój pacjent? Glen Gibson?

- To dziwne, ale jest w lepszym stanie niż ty. Pewnie dlatego, że zdołałaś go odepchnąć i najcięższe odłamki spadły na ciebie, nie na niego. Pewnie zainteresuje cię też to, że zdołaliśmy opanować jego trzustkę.

- To dobrze. Ktoś jeszcze jest ranny?

- Kilka niewielkich urazów, rany szarpane i tym podobne. Poza kierowcą, ty i Gibson ucierpieliście najbardziej.

- A kierowca?

Ruark potrząsnął głową.

- Rozległy zawał. Jego żona zeznała, że nie czuł się dobrze, ale się uparł, że sam pojedzie do szpitala. Szkoda, że go puściła.

- Musi mieć teraz okropne wyrzuty sumienia. Ale mogło być gorzej. Szpital mógł ucierpieć bardziej.

- I tak jest kiepsko. Izba przyjęć została zamknięta do czasu, aż ekipa budowlana oceni stan konstrukcji w naszej części budynku. Dopiero po ekspertyzie zacznie się remont, który pozwoli nam wrócić do pracy.

- A co z pacjentami?

- Lekkie przypadki są kierowane do tego niewielkiego pogotowia naprzeciwko, a poważne urazy do szpitala św. Brygidy. Nasz personel został tymczasowo rozdzielony pomiędzy inne oddziały, część wykorzystuje zaległe urlopy. - Uśmiechnął się szeroko. - Ja też wziąłem kilka dni wolnego.

- A po co?

- Pomyślałem, że będą mi bardzo potrzebne, abym mógł codziennie przekonywać moją żonę, jak bardzo ją kocham.

Zamarła, zastanawiając się, czy kombinacja leków przeciwbólowych i życzeniowego myślenia może wpłynąć na zmysł słuchu.

- Jak bardzo ją co?

Przysiadł ostrożnie na krawędzi łóżka i ujął jej dłoń.

- Kocham cię, Gino.

- Ty... Jak? Dlaczego? Myślałam, że nie wierzysz w miłość.

- Nie wierzyłem. A potem zjawiałaś się ty. Pewnego dnia zrozumiałem, że nie wyobrażam sobie mojego życia bez ciebie i odkryłem, że wcześniej byłem w błędzie.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Myślałam, że... - Nie mogąc poradzić sobie z ogarniającym ją uczuciem ulgi, zaczęła cicho płakać.

Czekał cierpliwie, aż Gina się uspokoi.

- Myślałaś, że...?

- Wyobrażałam sobie różne scenariusze - wyznała, ocierając policzki grzbietem dłoni. - Nie mogłam zdecydować, czy naprawdę mnie nie kochasz,

czy po prostu boisz się do tego przyznać. Potem przypomniałam sobie, jak mówiłeś, że słyszałeś to wyznanie wcześniej wiele razy, od wielu kobiet, i zrozumiałam, że mi nie wierzysz.

- Wierzyłem ci, Gino, tylko nie umiałem tego zaakceptować. Byłem głupi, myśląc, że jeśli dowiodę ci, jak bardzo mi na tobie zależy, wszystko samo się ułoży. Że sama zrozumiesz, ile dla mnie znaczysz, nawet jeśli ci tego nie powiem.

- Próbowałam tak to sobie tłumaczyć, ale kobiety potrzebują tych słów.

- Źle się do tego zabrałem, więc spróbuję znowu. Gino, wyjdiesz za mnie? Nie z obowiązku, nie z powodu historii, która połączyła losy naszych rodzin, i nie w imię celów politycznych, ale dlatego, że mnie kochasz?

Znów poczuła pod powiekami łzy, ale tym razem były to łzy szczęścia.

- Tak, wyjdę za ciebie.

Pochylił się i pocałował ją tak delikatnie, jakby bał się, że może ją zranić.

- Daj spokój - zakpiła. - Tylko na tyle cię stać?

- Na razie tak. Zbieram siły na dzień, w którym cię wypiszą.

Roześmiała się.

- Obiecanki-cacanki.

- Czy mogę zadzwonić do rodziców i powiedzieć, aby zaczęli planować ślub?

- Będę wdzięczna.

- Zapytają o datę.

- Jutro.

- Chyba nawet moja mama nie dałaby rady. Poza tym musisz jeszcze wyzdrowieć. Może za miesiąc?

- Doskonale. Masz przy sobie telefon?

- Mam, czemu pytasz? Wzięła od niego aparat.

- Zaraz ci wyjaśnię.
- Mogę zadzwonić za ciebie.
- Wiem, ale tę rozmowę muszę odbyć osobiście.

Wybrała numer i odczekała chwilę, wsłuchując się w daleki sygnał.

Słuchawkę podniosła kobieta.

Jej akcent tak bardzo przypomniał Ginie rodziców, że z wrażenia na chwilę zaniemówiła.

- Babcia? - wychrypiała. - To ja, Gina...



## ***EPILOG***

- Mój brat byłby z ciebie dumny, gdyby dożył tego dnia - oznajmił król Henrik, czekając z Giną w przedsionku katedry św. Grzegorza, położonej w samym sercu stolicy Marestonii.

- Też tak myślę. - Gina uśmiechnęła się do wuja, który tak bardzo przypominał jej tatę. - Dziękuję, że zgodziłeś się poprowadzić mnie do ołtarza.

- To dla mnie zaszczyt. Ale muszę przyznać, że odetchnę, kiedy to wszystko wreszcie się skończy. Przy organizacji waszego ślubu w mniej niż miesiąc przewrócono oba pałace do góry nogami. Twoja ciotka i babka całymi dniami dyskutowały tylko o materiałach i fasonach sukien. Nawet sobie nie wyobrażam, przez co przeszli rodzice Ruarka, aby zorganizować swoją część.

Mimo iż tradycja nakazywała, aby ślub odbył się w jej ojczyźnie, zdecydowali się z Ruarkiem rozdzielić uroczystości pomiędzy oba kraje tak, aby nikogo nie urazić. Ceremonia ślubna i skromne przyjęcie miały być zorganizowane w Marestonii, a oficjalny bal w Avelonii.

- Wiem i naprawdę mi przykro, że przysporzyliśmy wam tylu problemów.

- Nonsens, kochanie. Wszyscy tego potrzebowaliśmy. Szkoda tylko, że tak szybko wracacie do Stanów. Nie mieliśmy czasu porozmawiać.

- Wkrótce znów przyjedziemy.

Gina prawie nie słyszała muzyki, zagłuszało ją jej bijące z emocji serce. Zobaczyła dziewczynki sypiące płatki kwiatów. Za kilka sekund mistrz ceremonii da znak jej i wujowi.

Czekała, bawiąc się koronkową chusteczką, którą przekazywano w jej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Wyszyto na niej dotychczas dziesięć

nazwisk, a jej miało być dodane wkrótce. Kiedyś pod jej nazwiskiem znajdzie się także nazwisko jej córki.

- To twoja ostatnia szansa. Jeszcze możesz zmienić zdanie - zażartował Henrik, prowadząc ją główną nawą do ołtarza.

- Już jesteśmy małżeństwem, więc nie mam wyboru - przypomniała mu z uśmiechem.

Wuj przekazał ją Ruarkowi i odszedł, a Ruark zajął miejsce u jej boku.

- Pięknie wyglądasz - wyszeptał do jej ucha.

- Ty również.

- Myślałem, że nigdy nie podejdziesz.

- Szłam najszybciej, jak mogłam. Nie musimy tego robić, wiesz?

- Mielibyśmy pozbawić ich tych atrakcji? Nigdy by nam nie wybaczyli.

Mimo całego zamieszania Gina wiedziała, że obie rodziny były zachwycone ich decyzją i z determinacją przejęły całość związanych ze ślubem przygotowań. Była im wdzięczna, bo sama nie dbała o kwiaty, muzykę i jedzenie. Chciała tylko powtórzyć słowa przysięgi, bo tym razem dla obojga miały one znaczenie.

- Czy Jego Książęca Wysokość chce coś powiedzieć, zanim znów ożeni się ze swoją żoną? - zapytała kpiąco.

Uścisnął mocno jej dłoń.

- Może „kocham cię”?

- Doskonale.